



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

MARZEC 2000

ISSN 1429-4494

NR 3 (61)/00 ROK VIII

5 LUTEGO 2000 r.



8 ROCZNICA
KLUBU
SENIORA
POLITECHNIKI
GDAŃSKIEJ



Honorowy Członek Klubu Seniora PG,
prof. Aleksander Kołodziejczyk, JM Rektor:
"Najcenniejsi są ludzie!"

1990-2000

X LAT

KLUBU SENIORA
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

JM Rektor Politechniki Gdańskiej
profesor Aleksander Kołodziejczyk
oraz
Zarząd Klubu Seniora
mają zaszczyt
zaprosić na

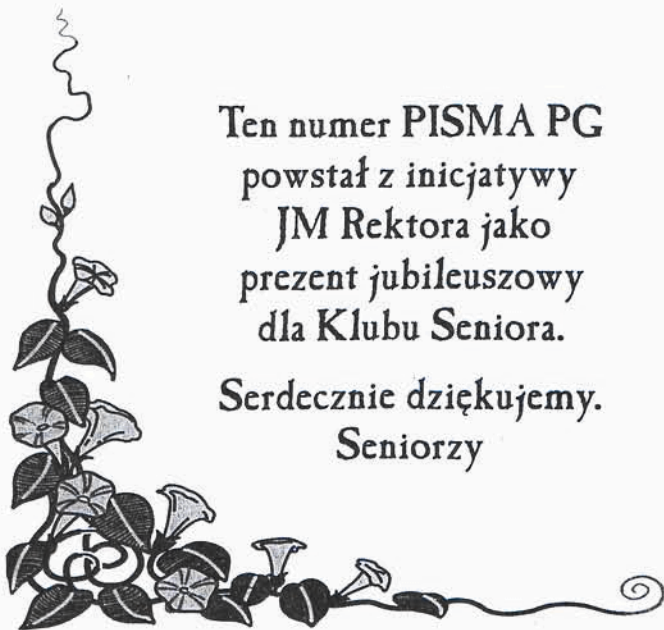
uroczyste jubileuszowe
spotkanie

z okazji

10-lecia Klubu Seniora

które odbędzie się
5 lutego 2000 roku (sobota)
o godz. 13,00
w Auli naszej Alma Mater

W programie przewidziane są
występy artystów Opery Bałtyckiej



Ten numer PISMA PG
powstał z inicjatywy
JM Rektora jako
prezent jubileuszowy
dla Klubu Seniora.

Serdecznie dziękujemy.
Seniorzy

"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej
Zespołu Redakcyjnego.
Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.
Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz),
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki
Joanna Szlączyńska

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Projekt 1. i 4. strony okładki:
Paweł Czarzasty, student Wydziału Architektury PG
Wykorzystano fotogramy Tadeusza Chmielowca

Stała współpraca:
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szlączyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

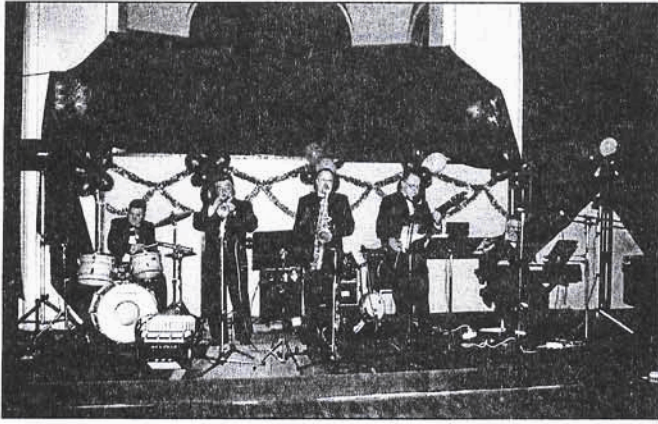
Numer zamknięto 18 lutego 2000 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca
materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany,
skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów
i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub
Kierownictwa Uczelni.
Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać
w księgarni w Gmachu Głównym.

Spis treści

Sylwester 1999. Prawo Stanisławskiego <i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	4
Być Senioirem <i>Marek Biedrzycki</i>	5
Chwile zadumy nad jubileuszową lampką wina <i>Jadwiga Lipińska</i>	5
Na otwarcie Klubu Seniora PG <i>Jadwiga Lipińska</i>	7
Klub Seniora PG Organizacja wewnętrzna i zakres działalności <i>Gizella Bober</i>	8
Po pięciu latach - wirtualnie <i>Jadwiga Lipińska</i>	9
Jedna z wielu <i>Lubomira Jankowska</i>	9
Klub Seniora <i>Wanda Drygalska</i>	10
Przemówienie ks. arcybiskupa na spotkaniu z Seniorami 8.01.2000 r. <i>Tadeusz Goctowski</i>	10
List do Klubu Seniora <i>Franciszek Otto</i>	11
Dziesięć lat Powitanie gości na Jubileuszu Klubu Seniora <i>Gizella Bober</i>	12
Najcenniejsi są ludzie Wystąpienie JM Rektora <i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	13
Drodzy i wspaniali Seniorzy! Wystąpienie Senatora RP <i>Edmund Wittbrodt</i>	14
Dziesięć życzeń na dziesięciolecie Klubu Seniora <i>Jadwiga Lipińska</i>	15
Jubileusz dziesięciolecia Klubu Seniora PG <i>Jadwiga Lipińska</i>	15
Dziesięć lat minęło... jak jeden dzień <i>Gizella Bober, Jadwiga Lipińska</i>	17
"Bratnia Pomoc" na Politechnice Gdańskiej w latach 1922-39 i 1945-49 <i>Jerzy S. Kowalczyk</i>	20
Nie tylko wspomnienia <i>Tadeusz Witalewski</i>	22
Moja droga do elektrotechniki <i>Franciszek Przedziecki</i>	24
Notatki biograficzne nauczyciela akademickiego <i>Henryk Wesołowski</i>	27
Leon Żółtek-Mitkiewicz <i>Tomasz Pankiewicz</i>	29
Migawki z dawniejszych lat (cd.) <i>Jerzy Sawicki</i>	30
Magister (cd.) <i>Edward Kaczmarek</i>	31
Obrazek z Urlopu Absolwenta <i>Krzysztof Targowski</i>	33
Na Cypr i jeszcze dalej <i>Róża Janca-Brzozowska</i>	34
Plagiat domniemany <i>Bronisław J. Jachym</i>	37
Moja przygoda z fotografią... <i>Waldemar Szaraniec</i>	38

Sylwester 1999



Prawo Stanisławskiego

Szanowni Państwo, Drodzy Balowicze,

zapraszam na wykład noworoczny. Proszę się nie obawiać, nie będzie to normalny wykład akademicki, którego przeciętny czas trwania oceniany jest na około 45 minut. Ten musi się skończyć przed północą, pozostało więc tylko kilkanaście minut, a przecież przedtem musicie Państwo jeszcze powrócić do stolików i przygotować szampany na toast noworoczny.

Znajdujemy się w pomieszczeniach czasowo zamienionych na sale balowe. Zwykle służą one sprawom dydaktyczno-naukowym, dlatego w wykładzie chciałbym nawiązać do spraw nurtujących środowisko, którego jestem przedstawicielem. Nawet osoby nie zaznajomione z funkcjonowaniem uniwersytetów i innych uczelni akademickich nie wątpią, iż badania naukowe pełnią bardzo ważną rolę w tych instytucjach. Dlatego proszę się nie dziwić, że właśnie dzisiaj, w tę jedyną i niepowtarzalną noc nie tylko mijającego 1999 roku, ale również odchodzącego w dal XX stulecia oraz II tysiąclecia, nawiążę krótko właśnie do pracy naukowej. Kluczem do sukcesu naukowego jest umiejętność postawienia problemu, czyli sformułowania pytania, najlepiej takiego, żeby nie tylko zdążyć znaleźć na nie odpowiedź w ciągu swojego twórczego życia, ale mieć jeszcze czas na cieszenie się zasłużoną sławą odkrywcy. To właśnie udało się wybitnemu polskiemu specjalście, chyba jedynemu w świecie w zakresie mniemanologii stosowanej, profesorowi nauk niezwykłych - Janowi Stanisławskiemu, twórcy naukowego podejścia do rozwiązywania ważnych problemów życiowych. Podjął się on niezwykle trudnego zadania, a mianowicie próby zgłębienia zagadnienia, którego istota sprowadzała się do znalezienia odpowiedzi na od dawna dręczące ludzkość pytanie, związane z kryterium ważności. Profesor Stanisławski rozwiązał tę kwestię na przykładzie wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świątami Wielkiej Nocy i vice versa. Po wielu latach intensywnych badań, głębokich studiów, śledzenia na dokumentami źródłowymi, zażartej dyskusji i polemiki z oponentami oraz zmagania z biurokratami z KBN doszedł do zaskakującego rozwiązania, które, jak większość fundamentalnych prawd naukowych, okazało się niezwykle proste, a co najważniejsze - uniwersalne. Prawo Stanisławskiego, bo o nim mowa, brzmi: ważniejszy ten bliższy. Wynika z niego niezbicie, że to święto jest ważniejsze, z którym akurat bliżej jesteśmy emocjonalnie związani, do którego właśnie się przygotowujemy, celebруем je, czy w końcu dochodzimy do siebie po wszystkich trudach i zmaganiach. Jakże to proste i tylko żałować trzeba, że

prawo Stanisławskiego, jak dotychczas, nie zostało szeroko upowszechnione i nie tylko nie zawędrowało jeszcze pod strzechy, ale nawet nie zostało uznane przez najważniejsze ośrodki naukowe świata. Niestety, spiskowa teoria dziejów została po raz kolejny potwierdzona w praktyce, a praktyka, jak pamiętamy z dialektyki, którą nam do niedawna wpajano - jest najwyższym kryterium prawdy! Gdyby prawo Stanisławskiego było szerzej znane, nie doszłoby do tej jałowej i bezprzedmiotowej dyskusji na temat najważniejszego w tym tysiącleciu dylematu, ujętego w trudnym na pozór pytaniu: który Sylwester jest ważniejszy, czy ten z przelomu 1999/2000, czy też ten następnym z przelomu 2000/2001? Problem istotnie trudny, ponieważ nie da się go scałkować, nie można go potraktować macierzą, nie ulega również rozkładowi na czynniki pierwsze, a co gorsze, jak donoszą niestrudzeni i wszędobylscy reporterzy, wiele najsilniejszych komputerów przepaliło się już przy wstępnych próbach wprowadzenia danych. Za te wszystkie niepowodzenia odpowiedzialnością obciążono niewinną przecież pluskwę milenijną, chociaż w rzeczywistości stwierdzone trudności wynikają wyłącznie z braku elementarnej wiedzy. W świetle prawa Stanisławskiego nie może być wątpliwości, że ważniejszy jest Sylwester dzisiejszy, a znaczenie tego następnego ocenimy za rok. I tak dochodzimy do wniosku, że ważność jest pojęciem względnym, wobec czego prawo Stanisławskiego, traktujące o ważności, staje się komplementarne z teorią względności, a więc... jego odkrywca powinien zająć miejsce w jednym szeregu z najwybitniejszymi postaciami mijającego tysiąclecia.

Tym, którzy jeszcze nie zostali przekonani powyższym wywoływaniem, chciałbym zadać pytanie: Czyż o ważności dzisiejszego Sylwestra nie przekonali się Państwo, pokonując trudności w zdobyciu zaproszeń? Czy nie świadczy o tym ich cena, koszty kreacji i dodatków? Ponadto jeszcze przez pewien czas nie będziemy mieć wątpliwości co do jego znaczenia, a przynajmniej jutro, zakładając kompresy na obolałą głowę lub stopy, w zależności od tego, którą część ciała naraziliśmy na większe przeciążenie, masując zmęczone mięśnie, gasząc nie do zniesienia pragnienie, nie wiadomo czym wywołane, i walcząc z obezwładniającym snem. A co nas jutro będzie łączyło z Sylwestrem 2000/2001? Na razie nic! Jak widzimy, prawo Stanisławskiego - ważniejszy ten bliższy, sprawdza się bez zastrzeżeń!

Teraz z rozjaśnionym umysłem wróćmy do balu na Politechnice! Myślę, że nie mamy wątpliwości co do tego, że uczestniczymy w najpiękniejszym balu na Wybrzeżu, przebywamy w najwytworniejszym towarzystwie - proszę rozzejrzeć się wokoło; tańczymy przy dźwiękach najlepszej orkiestry tanecznej - o czym świadczy wypełniony parkiet, i podtrzymywani jesteśmy na siłach wyrobami najznakomitszej restauracji w okolicy. Bawmy się więc radośnie i życzymy sobie wzajemnie samych wspaniałości. Przede wszystkim, żebyśmy byli zdrowi, bo Kasy Chorzych są bardzo chore; niech nas nie opuszcza szampański nastrój niezależnie od tego, że podatki nadal będą wysokie, a formularze PIT-owskie stają się coraz bardziej skomplikowane; nie zamartwiamy się o przyszłość, pomimo ujemnego przyrostu naturalnego; niech przynajmniej nam wszystkim się udaje w sytuacji, kiedy ZUS ciągle jest w opałach, a milenijna pluskwa niech przepadnie raz na zawsze - a kys! Zaś najważniejszym życzeniem niech będzie to, żebyśmy mogli i mieli ochotę spotkać się tu za rok, w tak samo dobrych nastrojach.

Szczęśliwego Nowego Roku!

*Prof. Aleksander Kolodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej
(fot. T. Chmielowiec)*



Pani Gizella Bober, przewodnicząca Klubu Seniora z prof. Edmundem Wittbrodtem, rektorem PG w latach 1990-96

Być Seniozem

Gdyś młody i życia przed tobą przestrzenie
Nie zerkasz na czas, co ci lat dodaje,
Pragniesz najlepiej spełnić swe marzenie
I cel doganiasz, bo ci siły stąje.

Lecz trud, wysiłek i optymizm wszelki
Spijały soki twójego żywota,
Wiele zrobiłeś, jesteś sławny, wielki
Aż wreszcie nadeszła twa życia sobota.

Duchem bogaty oraz wiedzą syty,
Srebrne przed lustrem przyczesujesz skronie
Jeszcze pełen werwy - lecz humor ukryty
Gdy patrzysz na swoje spracowane dłonie.

I myślą wciąż wracasz do czasu młodości,
Choć serce pod ścisłym medyka nadzorem,
A reumatyzm pielęgnuje kości,
Ty zapominasz, że jesteś seniozem.

A senior - dumne przecież brzmienie,
Najstarszy człek rodu, jak księgi podają,
Powagę prezentuje oraz doświadczenie,
I wszyscy o porady jego zabiegają.

Więc kiedy się zbierze już seniorów rada,
By srebrnego wieku podkreślić radości,
Najszczęsne życzenia złożyć im wypada,
Wiecznie uroczej srebrnej młodości.

*Marek Biedrzycki
Dział Współpracy z Zagranicą*

Chwile zadumy nad jubileuszową lampką wina

Jest taka audycja w telewizji, nosząca tytuł "Wesoło, czyli smutno". Nie wiem, dlaczego pomyślałam właśnie o tym tytule. A może wiem? Tak trochę cukru, soli i pieprzu, myśli i słów wesołych, czasem smutnych i szarych, nieco sukcesów, szczypta niepowodzeń, ot tak razem cicer cum caule, czyli groch z kapustą. Kłębią się myśli i wspomnienia. Jednym słowem, jak w soczewce skupiają mi się dzieje naszego Klubu Seniora, który właśnie oto wkracza dostojnie w drugi dziesięciolecie swojego istnienia, a może swojej - smutnie nazywając - działalności?

Zdecydowanie jednak odrzucam to wszystko, co mogło być kiedyś szare, smutne, gorzkie czy słone, a staram się myśleć i pamiętać o tym raczej, co było dobre, miłe, pożyteczne, a nawet wesołe. Niech więc tylko wesoło - nie smutno.

Nasza niezbywalna i nieodzowna dewiza, że "człowiek wart jest tyle, ile może zrobić dla drugiego człowieka" niech nadal nam przyświeca i prowadzi w następne lata. Musimy jeszcze zmodyfikować stare przysłowie "miłe złego początki, a koniec, który jest jeszcze bardzo, bardzo daleki - na pewno będzie radosny". A początki naszego Klubu rzeczywiście były miłe i już wtedy czuło się, że poprowadzą do dobrego końca. Tym miłym początkom towarzyszył niepowtarzalny zapach i chęć dokonania czegoś naprawdę dobrego i pożytecznego w naszej uczelni. To garstka entuzjastów i zapaleńców obojga płci 10 lat temu powołała do życia to, co obecnie nazywa się szumnie Klubem Seniora Politechniki Gdańskiej, a nie żadnym klubem emeryta czy rencisty. No bo przecież emeryt, to nie rencista w naszym polskim brzmieniu, co najwyżej w zagranicznej wersji - rentier, ale z całą pewnością to Senior Rencista; nasz - najczęściej nie osiągnął jeszcze wieku emeryta, choć takim może czuć się naprawdę w zmaganiach ze swoją chorobą, a więc i po trosze jest - seniozem. No i tak z tych filozoficznych rozważań, od słowa do słowa, członkami naszego Klubu są i emeryci, i renciści, a jest nas już dziś niemało, bo ponad 1500 osób. Zaś nazwa Klub Seniora brzmi dobrze i dumnie.

Trzonem Klubu jest oczywiście - bo jakże mogłoby być inaczej, około 10-osobowy Zarząd wyłoniony spośród tych, którzy od samego początku garnęli się z radością i ochotą do współpracy. Niestety, brakuje nam tylko Rady Nadzorczej, i oby tak już zostało, gdyż nie mielibyśmy dla niej odpowiedniego wynagrodzenia, bo jak wieść niesie, taka Rada nie pracuje za darmo, a wręcz przeciwnie, jej członkowie liczą "na tak duże, że ho ho, a może i większe uposażenie". A więc obywamy się bez takiego członu, i jest nam z tym dobrze, gdyż jako skromni członkowie Zarządu pracujemy społecznie, bez zapłaty, ba, nawet często nie licząc na miłe słówko "dziękuję" od całej naszej społeczności emeryckiej. Ale co tam, to nie jest takie ważne. Ważna jest dla nas przede wszystkim radość z wkładanej w działalność Klubu pracy i widoczne - nawet gołym okiem - jej efekty. A to cieszy i pobudza do dalszych w tym kierunku wysiłków.

Naturalnie bez przesady, bo jednak i my mamy swoje bariery i znaki STOP. Tymi znakami są zdrowie nasze, nadszarpnięte już nieco zębem czasu, no i ten czas właśnie, czyli wiek, a także tzw. pogodna i złota jesień życia, która jakże często obfituje w mgły i mżawki oraz jesienne chłody, i w sumie nie pozwala na więcej wysiłku. Nie możemy, niestety, z pełną odpowiedzialnością i entuzjazmem zaśpiewać sobie: "wesoło jest życie sta-

ruszka". Liczymy jednak na to, że nasze szeregi zasilą nowi, dużo młodszy od nas emeryci, których co roku sporo przybywa. Oby tylko zechcieli nam pomóc, a z tym różnie w życiu bywa. Patrząc wstecz, zarówno życzliwie, jak i nieco krytycznie, muszę wyłowić z naszej dziesięcioletniej historii jak najwięcej dobrych wspomnieniowych faktów. A więc - rok pierwszy działalności Klubu. Jeszcze trochę skromnie, nieporadnie i siermięcznie, jak to zwykle na początku, ale pomysłowo i z dobrymi chęciami. Nikt nas nie wspiera, nie mamy żadnych wzorów. Pomaga nam jednak nasza intuicja i spore doświadczenie w pracy społecznej i socjalnej, jakim dysponuje nasza przewodnicząca - pani Gizella Bober, która do dziś przewodniczy dzielnie i z pożytkiem naszemu Klubowi Seniora. Pierwsze spotkania, nieco już liczniejsze, były bardzo skromne. Same osobiście piekłyśmy kruche ciasteczka z powierzonych nam przez siebie produktów, aby czymś przyjąć gości, a herbatę same kupowałyśmy ze swoich skromnych składek zbieranych na ten cel. Głowiłyśmy się jednak, jakby tu zarobić parę groszy na potrzeby Klubu.

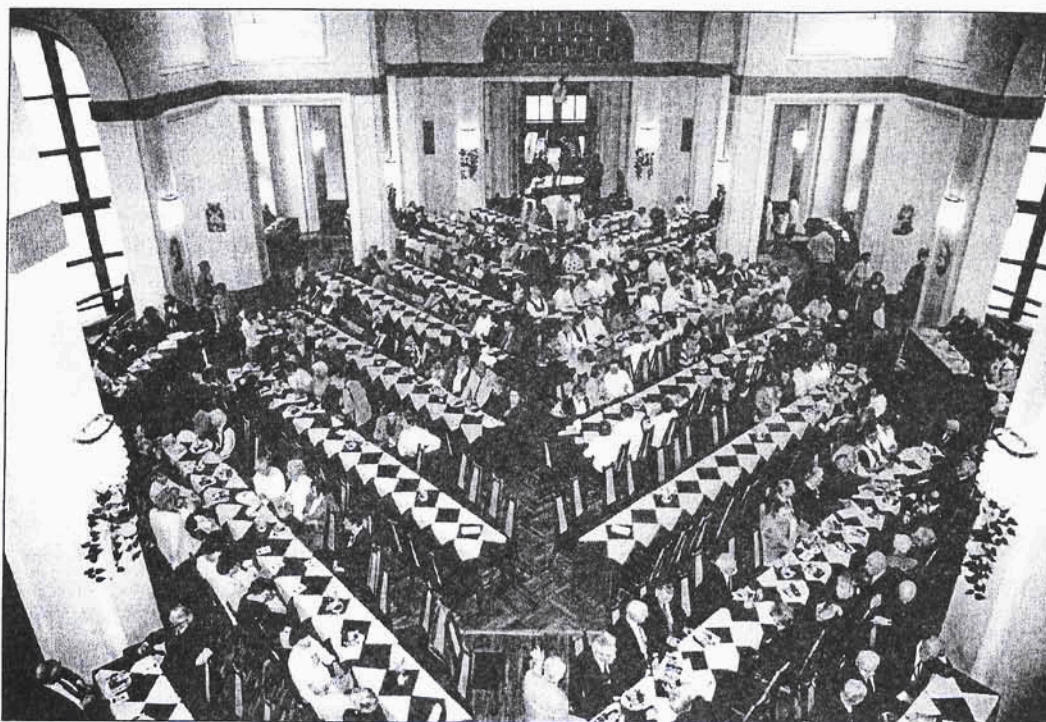
W tym celu zaczęłyśmy wypłacać wieńce i wianki, układać wianki na Dzień Zmarłych, które następnie sprzedawałyśmy w Klubie i rozprawdzałyśmy wśród rodzin i znajomych. Wianki robimy z suszonych ziół zbieranych latem i ze świerkowych gałązek przywiezionych cichaczem z lasu. Przymierzamy się także do klejenia kopert i drobnej pracy chałupniczej. Żeby wysłać życzenia świąteczne do naszych seniorów, przygotowujemy kartki z wycinankami ze starych pocztówek świątecznych przyniesionych z domu. A że nie mamy pieniędzy na znaczki pocztowe, przeistaczamy się sami w listonoszy i - rozdzielwszy między siebie ulice - roznosimy osobiście te życzenia do adresatów, reklamując przy okazji nowo powstały Klub Seniora. Miłe, choć męczące i pracowite były to chwile, ale i pełne satysfakcji, gdy patrzyliśmy wtedy na bardzo zdziwione miny odbiorców naszych świątecznych życzeń. Spotykaliśmy się z tak przeróżnymi reakcjami z ich strony, że często w duchu bywaliśmy rozbawieni. Co krok, to niespodzianka. Niedowierzanie, zdziwienie, niepewny uśmiech lub wzruszanie ramion. A więc, może tak, jak napisałam we wstępie - "wesolo było,

czyli smutno?" Długo to jednak nie trwało. Głowy pracują, wywiad działa. Rok drugi i trzeci zdecydowanie był lepszy. Zdobywamy dobre wiadomości i rozeznanie poprzez Dział Socjalny. Okazuje się, że jednak przysługują nam, jako emerytom, pewne dotacje z budżetu na cele socjalne, i to całkiem niemałe. Wspomógł też Związek Zawodowy NSZZ "Solidarność", przekazując nam ze swej kasy pewne kwoty na "działalność wycieczkową" naszego Klubu. Urządzaliśmy wtedy krótkie wypadki do lasu na grzyby, autokarem uczelni, gdy jeszcze taki posiadała. Klub Seniora zaczął wreszcie dysponować swoimi pieniędzmi. Większe spotkanie seniorów można było organizować z pewnym rozmachem, choć początkowo jeszcze bardzo ostrożnie. Nie wypiekałyśmy już osobiście ciasteczek, ale kupowałyśmy je w Delikatesach i zносиłyśmy w dużych torbach do Politechniki, objuczone jak "dzikie ośliki". Znalazły się nawet pieniądze na znaczki pocztowe i okolicznościowe kartki świąteczne. Od JM Rektora otrzymaliśmy nawet swój lokal, w którym byliśmy, i jesteśmy dotąd, współlokatorami z dwiema jeszcze organizacjami - Kombatantami i Zrzeszeniem Absolwentów Politechniki Gdańskiej. Byliśmy już u siebie.

W lecie organizowaliśmy wiele wycieczek turystyczno-krajoznawczych, już nieco dalszych niż tylko do lasu na grzyby, jak np. do Łeby, na Półwysep Helski i do Pucka, do Żarnowca i Krokowej, do Pelplina i Gniewu, do Torunia, Malborka, Gietrzwałdu, Świętej Lipki i Lichenia.

Organizowaliśmy też często bardziej kameralne spotkania w naszym własnym lokalu, które stawały się coraz żywsze i weselsze. Zapraszaliśmy na nie zaprzyjaźnione z nami osoby z kierownictwa uczelni i spośród niektórych pracowników. Spotkania te ilustrują, podane na następnych stronach PISMA PG, niektóre okolicznościowe dowcipne wierszyki i liczne zdjęcia.

A to odwiedził nas św. Mikołaj, a to wpadł na chwilę w swoje święto św. Andrzej z wrózkami, a to któraś z koleżanek zaprosiła na imieniny. Bywały też miniodczyty czy referaty, np. o bursztynie, o czosnku, o ziołach leczniczych, o Konstytucji 3-maja, zbrodni katyńskiej, czy o radiestezji. Chcieliśmy, żeby



Oplatkowe spotkanie Seniorów

takie spotkania odbywały się regularnie. Nawet mieliśmy już dla nich nazwę: "mała czarna dla seniora", ale nic z tego nie wyszło. Nie dopisali goście, a i również zdarzały się mało dowcipne uwagi na temat tych naszych klubowych poczyńań i kulturalno-oświatowych spotkań. A więc znów bywało wesoło, czyli smutno. Ale i tak zawsze mieliśmy wielkie plany na przyszłość. Ażeby im sprostać pod każdym względem, przestudiowaliśmy dokładnie wszelkie prawa, ustawy i Dzienniki Ustaw, i już z całkowitą pewnością zostaliśmy pełnoprawnymi dysponentami naszego funduszu emerytalnego.

Bierzemy udział w komisji przydzielającej zapomogi bezzwrotne, podejmujemy decyzje o pieniężnych upominkach okolicznościowych dla naszych seniorów, współpracujemy ze związkami zawodowymi działającymi na terenie naszej uczelni, a nasze rachunki przechodzą przez Dział Socjalny i zawsze opiniowane są przez Związki. Niestety, jeszcze często spotykamy się z krzywdzącymi nas zarzutami ze strony pracowników uczelni, że to im właśnie zabieramy na nasze potrzeby, przydzielone przez Dział Socjalny, fundusze. Zarzuty te dzielnie odpieramy, gdzie się tylko da, i słowami i na piśmie, dowodząc, że nie mają racji, kierując do nas te pretensje. Padały też niekiedy ze strony pewnych dobrodziejów ludu dobre rady i propozycje, że te jakieś nasze niepewne dochody powinniśmy raczej przeznaczyć na kolonie dla dzieci, lub na remont akademików, przecież emerytom tak wiele nie potrzeba! O, jakże trudno udowodnić niektórym ludziom, że nie jest się wielbłądem! A więc może mam w tym trochę racji, że jest naprawdę trochę wesoło, czyli smutno? Ale za to ile radości mają nasi chorzy seniorzy, gdy przychodzimy do nich w odwiedziny z paczką słodyczy i bukietkiem kwiatów. Pyta się ich o zdrowie, potrzeby, spieszy się z doraźną pomocą. A ile radości przeżywają nasi najstarsi, zaci jubilaci, gdy wybieramy się do nich z pięknymi życzeniami przygotowanymi przez Biuro Rektora i z Jego własnoręcznym podpisem oraz ze skromną kwotą i czerwoną różą z naszej strony! Ile wzruszenia, niedowierzania i nawet też radości na ich twarzach, że uczelnia o nich pamięta, choć upłynęło tyle lat, że sam Pan Rektor życzy im wielu jeszcze lat w zdrowiu. I znów mogą powtórzyć, że jest naprawdę wesoło, a może i trochę smutno.

Na nasze świąteczne duże spotkania rokrocznie przychodzi coraz więcej gości. Ostatnio, gdy zaszczylił nas swoją obecnością JE Arcybiskup Gdański, w czasie wielkanocnego przyjęcia, było ponad 800 osób. Radość zebranych była i jest zresztą zawsze ogromna i widoczna. Spotykają się znajomi, często dawno nie widziani, JM Rektor składa życzenia i zapoznaje zabranych ze sprawami uczelni, mówi o jej sukcesach i kłopotach, a seniorzy czują się nadal związani ze swoją Alma Mater, i są w pełni usatysfakcjonowani tak serdecznym przyjęciem.

Klub Seniora rozwija się coraz potężniej i pełniej. Już nie nosimy w torbach zakupów na nasze spotkania, a zawieramy umowę na ich dostawę z bufetem działającym na terenie Politechniki. Na stołach, pięknie udekorowanych i nakrytych, pojawiają się smaczne słodczy i soki. Od trzech lat Klub nasz organizuje także wieczery wigilijną dla samotnych i pozostających bez opieki seniorów, na którą zapraszamy także i samotnych pracowników uczelni. Są tradycyjne dania, św. Mikołaj z prezentami, piękna choinka, kolędy i autokar rozwożący uczestników wieczery do domów. Widoczne są wśród radości i łyzy, w często smutnych oczach, i wiele wzruszenia. Więc można chyba i tym razem wrócić do naszej myśli przewodniej, że jest nam wtedy wesoło, czyli smutno.

Klub nasz pamięta także i o Dniu Nauczyciela. Spotykamy się tego dnia w nieco mniejszym gronie, tylko z emerytowanymi nauczycielami akademickimi, których, niestety, przybywa. Snują się wtedy wspomnienia sprzed lat, JM Rektor krąży wśród swoich starszych kolegów, zaciera się różnica wieku, sypią się anegdoty, błyskotliwe opowieści, dowcipy. W tym

Na otwarcie Klubu Seniora PG

Oczekiwana tak długo dziś nadeszła pora
Otwarcia "KLUBU SENIORA".

Tłumy się gromadzą,
każdemu ciekawość wprost wyczera z oka.
Nic na to nie poradzisz - nadiąga seniorów epoka.
Gdzie rzucić okiem -

napotkasz seniora, a jeśli się potkniesz - to o emeryta,
tylko możesz zawołać: O tempora! O mores!

bo kraj nam się starzeje, i kwita!
O! już się zbliża podniosła godzina

Jego Magnificencja już wstęgie przecina
Otwierają się Klubu podwoje szeroko!

Prosimy do środka! Radośnie, z ochotą!

Tuż za Rektorem - dyrektorów sznur sunie,

Za nimi przewodniczący obu związków bratnich

I dalej goście w nieprzebranym tłumie -

Ostatni wśród pierwszych, pierwsi wśród ostatnich.

Podniosła ta chwila i ten nastrój miły,

uściski, przemówienia; gwar i moc uciechy,

życzliwość wzajemną w Klubu progi wniósł,

i miłość bliźniego, radość i uśmiechy,

Honory Pani Domu dziś Gizella czyni,

nasza uroczna "przewodniczyni".

Jej to zapałem, troską i uporem,

drzwi Klubu stoją dla wszystkich otworem!

Starsi i młodszy, zdrowi i chorzy,

dłoń tu pomocną znajdują seniorzy,

i dłoń przyjazną, tyk optymizmu

bez ideologii i tumiwizmu.

O miły nastrój, domowe ciepło

zadbają w Klubie seniorki nasze,

pełne zapału i poświęcenia, uroczę

Irki, Marysie i Jasie.

Wszak miło będzie wpaść tu choć na krótko,

by posłuchać radia, choć go jeszcze nie ma,

tyk wypić herbaty, odegnąć precz smutki,

poplotkować nieco, lub posnuć marzenia:

... że może będzie telewizor, taśmy i video,

a może też szachy i kącik brydżowy...

Ach! skąd się marzenia te dziwne nam wzięły?

i skąd takie myśli przychodzą do głowy?

Wszak czasu tak niewiele nam już pozostało

a tyle rzeczy na świecie ciekawych,

o których chętnie by się usłyszało.

byleby los dla nas był jeszcze łaskawy...

Więc cieszymy się, póki można, tym miejscem na ziemi,

które tak szumnie Klubem nazwano Seniora,

gdzie będzie coraz więcej kwiatów i zieleni

no i miłych seniorów zawsze garstka spora...

I już na zakończenie:

serdeczne dzięki wszystkim dziś składamy

- Jego Magnificencji oraz dyrektorom,

za pomoc życzliwą, poparcie, opiekę

okazywane tak szczerze uczelni Seniorom.

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora

roku nie odwiedzą nas najstarsi nauczyciele-seniorzy: prof. Urbanowicz, prof. Tilgner i wielu, wielu innych, którzy odeszli z naszego grona na zawsze. I znów, mimo wszystko, wesoło jest, czyli smutno.

Przeżywamy też zawsze do głębi każde nowe wybory do władz uczelni. Obaj rektorzy wybrani za czasów naszego dziesięciolecia klubowego są, i pozostaną dla nas, na zawsze wspólnymi Przyjaciółmi, wspierającymi nasze poczynania i służącymi nam zawsze radą i realną pomocą.

Wspomnieć jeszcze się nam godzi o jednym z naszych większych osiągnięć, a mianowicie o pierwszym Ogólnopolskim Spotkaniu Przedstawicieli Seniorów Wyższych Uczelni Technicznych, zorganizowanym w ub. roku przez nasz Klub

Seniora pod patronatem JM Rektora. Zjazd wyłonił spośród swoich delegatów Ogólnokrajową Radę Seniorów Uczelni Technicznych, na czele której stanęła, wybrana jednogłośnie, przewodnicząca naszego Klubu. I było naprawdę pięknie i wesoło. A czy będzie smutno, przekonamy się po kilku latach i po efektach naszej dalszej współpracy na tym polu i nie tylko. Jawią się nowe pomysły, nowe inicjatywy, oby tylko starczyło nam na to wszystko zdrowia i sił. Jesteśmy dobrej myśli. Będzie dobrze, a może i lepiej. Jesteśmy tego pewni.

*Jadwiga Lipińska
Klub Seniora
(fot. T. Chmielowiec)*

Klub Seniora PG

Organizacja wewnętrzna i zakres działalności

1. Klub Seniora działa na terenie Politechniki Gdańskiej jako samodzielny zespół reprezentujący emerytowanych pracowników Uczelni oraz jej rencistów.

2. Na czele Klubu stoi demokratycznie wybrany 15-osobowy Zarząd, którym kieruje przewodnicząca Gizella Bober, pełniąc tę funkcję od chwili powstania Klubu.

3. Klub prowadzi dokładną kartotekę swoich członków, aktualizowaną co roku wg danych otrzymanych z Działu Socjalnego.

4. Wszystkie osoby przechodzące na emeryturę lub rentę automatycznie stają się członkami Klubu Seniora.

5. Klub Seniora dysponuje funduszem socjalnym, naliczanym z budżetu Państwa zgodnie z Ustawą o Zakładowym Funduszu Socjalnym z dnia 4.03.1994 r., który wynosi 5% średniej krajowej emerytury, pomnożone przez liczbę emerytów.

6. Pieczę nad prawidłowym wykorzystaniem tego funduszu sprawują związki zawodowe działające na Uczelni oraz służby pracownicze Politechniki.

7. Fundusz socjalny, którym dysponuje Klub Seniora, przeznaczony jest na finansowanie wszelkich form pomocy emerytom i rencistom, takich jak: okolicznościowe świadczenia finansowe, bezzwrotne zapomogi, pomoc doraźna chorym emerytom, oraz na działalność kulturalną Klubu Seniora, tj. organizowanie spotkań świątecznych, odczytów, wycieczek itp.

8. Przyznawanie wszystkich świadczeń finansowych regulują odpowiednie przepisy działające ogólnie na terenie uczelni.

9. W poważnych sprawach losowych (przy niskich dochodach) członkowie Klubu mogą ubiegać się o pomoc materialną, składając w Klubie Seniora lub w Dziale Socjalnym odpowiednie wnioski.

10. Seniorzy od 80 roku życia, osiągający okrągłą rocznicę urodzin, otrzymują upominek pieniężny.

11. Dwa razy w roku z okazji świąt, wszyscy emeryci i renciści otrzymują pewne kwoty jako upominek świąteczny, a także dofinansowanie do tak zwanych "wczasów pod gruszą".

12. Nasi Seniorzy mogą korzystać z wczasów w politechnicznym Ośrodku Wypoczynkowym w Czarlinie za odpłatnością wg obowiązującej tabeli dla pracowników Politechniki Gdańskiej.

13. Członkowie naszego Klubu mogą korzystać z pożyczek mieszkaniowych zgodnie z istniejącym w Uczelni regulaminem.

14. We wrześniu każdego roku Klub Seniora organizuje za niewielką odpłatnością wycieczki turystyczno-krajoznawcze.

15. Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy organizujemy ogólne spotkania wszystkich emerytów i rencistów z Kierownictwem Uczelni.

16. W październiku z okazji Dnia Nauczyciela odbywają się doroczne spotkania z emerytowanymi nauczycielami akademickimi Politechniki Gdańskiej, zaś w grudniu samotni Seniorzy - emeryci i renciści - zapraszani są na wieczerę wigilijną.

17. W ramach doraźnej pomocy Klub nasz prowadzi magazyn odzieży używanej, z którego mogą korzystać zarówno Seniorzy, jak i pracownicy Uczelni.

18. W Klubie Seniora można nieodpłatnie zmierzyć sobie ciśnienie tętnicze krwi. Mogą korzystać z tego Seniorzy i pracownicy.



Dzień Nauczyciela w Klubie Seniora

Zarząd Klubu Seniora zaprasza wszystkich serdecznie do naszego Klubu, który czynny jest codziennie od poniedziałku do piątku w godzinach od 11.00 do 14.00. Aktualne informacje dotyczące istotnych spraw Seniorów zamieszczane są systematycznie w gablocie znajdującej się obok Klubu Seniora, pok. 153, Gmach Główny Politechniki.

Prosimy również Seniorów - członków naszego Klubu o niezwłoczne powiadomienie Zarządu Klubu o każdorazowej zmianie swojego adresu; telefon Klubu - 347 22 26.

*Za Zarząd Klubu Seniora PG
Przewodnicząca Gizella Bober*

Po pięciu latach - wirtualnie

Pięć lat już nam minęło jak mgnienie oka.
Pięć długich lat odeszło w dal, hen!
I tak oto nadeszła pora, by w Klubie Seniora
jubileuszowy święcić dziś dzień.
Jubileusze, jubileusze zwykle są też pełne
i westchnień, i wzruszeń.
Jak więc uświetnić nasze pięciolecie?
Czy oprócz też i westchnień i humor się wplecie?
Zamiary nasze w marzeniach na miarę były kosmosu:
a więc pieśni, tańce, występy, orkiestra na 100 osób.
Niewiele jednak z tych marzeń zostało, ech!
bo duch w nas, choć nadal jest wielki, ale ciało mdłe!
Odmówił nam występując chór exrewelersów-
jak dotąd bardzo rączy,
"bo wzrok już nie ten - mówią - a i głosik drżący!"
Zaś balecik seniorek, chociaż taniec lubi
niestety, nazbyt już często krok taneczny gubi.
A więc czym umilić nasz jubileuszek?
Jak dostarczyć gościom humoru i wzruszeń?
Odwołajmy się przeto do ich wyobraźni,
by mogli w głębi sali dostrzec najwyraźniej
dużą estradę, schody, wspaniałą kurtynę...
Kurtyna idzie w górę, a u schodów szczytu
- proszę, postać się ukazuje wspaniała,
ukłonem gości wita - schodzi powoli,
uśmiechy w krąg rozdziela
to przecież we własnej osobie nasza przewodnicząca
Pani B o b e r G i z e l l a.
Tuż, tuż za nią tłoczy się, biegnie, popycha
cały Zarząd Klubu z szampanem w kielichach.
Dech w piersi zapiera wspaniała sceneria -
Kosze kwiatów, girlandy róż, tłum gości w galeriach.
Orkiestra w pełnym składzie gra już uwerturę,
zewsząd słychać: 100 lat! Emeryci górą!
Gwar, wesele, radość, wszyscy się kochają,
wpadają w objęcia, nawzajem życząc sobie zdrowia,
jeszcze raz zdrowia i jeszcze raz szczęścia!
Girlandki w skąpych strojach tańczą w rytm kankana,
W głębi trio skrzypcowe walce rzewne gra,
arię ze "Śmieję się Pajacu" Brodzińska śpiewa sama
i zabawa jubileuszowa w jak najlepsze trwa...
Czar pryska ... rozlegają się dźwięki dzwonka
znajome nam dobrze.
Budzimy się - koniec z wyobraźnią tak nam daną szczerze.
A teraz już na jawie - będzie przemówienie
na temat osiągnięć Klubu i jego upadków,
a także osobistych sukcesów naszych babć i dziadków,
o tym, czego nam nie dostaje, a czym się szcycimy,
kogo najbardziej kochamy, kogo nie lubimy.
O wszystkim tym opowie nam zaraz w swoim referacie -
Głos Klubu - czyli Głos Przewodniczącej,
którą wszyscy znacie.
A po referacie i chwilach wzruszenia
zaprosimy miłych gości do tortu jedzenia
(jubileuszowego oczywiście).

*Jadwiga Lipińska
Klub Seniora*

Jedna z wielu

Z ciekawością i dużym zaangażowaniem rozpoczęłam pracę w Bibliotece Głównej PG w 1953 r., w okresie jej organizowania przez dyr. dr. Mariana Des Loges. Pociągnęło mnie, że nauczę się tam nowego, pożytecznego zawodu i będę miała możliwość wykorzystania i pogłębienia znajomości języków obcych, gdyż Biblioteka gromadziła wiele książek obcojęzycznych, a często była również odwiedzana przez naukowców z zagranicy.

Powierzony mi Dział Gromadzenia Zbiorów (zakup, dary i wymiana książek) umożliwiał szerokie kontakty z pracownikami naukowymi PG, którzy chętnie udzielali mi potrzebnych konsultacji, oraz z księgarniami i wydawnictwami. Kiedy z biegiem czasu przejęłam kierownictwo Działu Udostępniania Zbiorów, praca w nim sprawiła mi nie mniejszą przyjemność. Cieszyła mnie duża frekwencja studentów w czytelni ogólnej i rosnąca z roku na rok liczba wypożyczeń książek w wypożyczalni.

Włączyłam się także w prace społeczne i szkolenia zawodowe. W różnych okresach mej pracy w uczelni byłam sekretarzem Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, wiceprzewodniczącą Sekcji Bibliotekarskiej przy Zarządzie Okręgu ZNP (Związku Nauczycielstwa Polskiego), przewodniczącą Grupy Związkowej Biblioteka-Architektura i członkiem Komisji Rewizyjnej uczelnianego ZNP.

Praca zawodowa i społeczna wypełniała moje życie, więc po przejściu na emeryturę czułam pewien niedosyt i długo brak mi było aktywności. Toteż byłam mile zaskoczona, kiedy w 1989 r. zespół odważnych i przedsiębiorczych emerytów uczelni, na czele z p. Gizellą Bober, zaprosił mnie do grona osób, które podjęły się zorganizować w uczelni pewien rodzaj wspólnoty dla nawiązania kontaktów z przeszłością, z dawnymi pracownikami PG. Propozycję przyjąłam, uważając ją za zaszczyt dla mnie.

Trzeba było wielu wysiłków, aby z naszych początkowo nierzadko udanych prób powstał i rozwinął się szeroko znany obecnie Klub Seniora PG. Stało się to dzięki wysiłkom wielu ludzi i poparciu ze strony władz uczelni.

Chętnie biorę udział w pracach naszego Klubu, tym bardziej, że współpracują tu znane mi z przeszłości osoby: p. Sabina, kierująca kiedyś akcją kolonii letnich w uczelni (brali w nich udział obaj moi synowie, Zbigniew i Tomasz), p. Władzia, która kiedyś tak pięknie przepisywała na maszynie przetłumaczone przeze mnie prace dla niektórych pracowników PG, i p. Jadzia Lipińska, z którą wiąże mnie pewne miłe wspomnienie.

W 1964 lub 1965 r. nieoczekiwanie zostałyśmy obie zaproszone przez grupę studentów arabskich na jakąś ważną dla nich uroczystość narodową. Ubrane możliwie jak najlepiej, udałyśmy się do budynku Budownictwa Okrętowego, gdzie przed wyznaczoną salą powitali nas studenci w kolorowych narodowych strojach, wprowadzili do udekorowanej sali i posadzili przy ładnie nakrytym stoliku. Na sali kłębił się już tłum barwnie ubranych studentów arabskich. Nie widać było żadnej dziewczyny.

Rozpoczęły się uroczyste przemówienia w języku arabskim, potem śpiewy. Roznoszono przy tym na sali jakieś smakołyki i napoje. Ukoronowaniem uroczystości stały się nieznanne nam dostojne tańce egzotyczne przy dźwiękach wschodnich instrumentów. Towarzyszący nam kolejno zmieniający się studenci objaśniali nam ich znaczenie. Czułyśmy się w pełni usatysfakcjonowane.

Dziś pani Jadzia jest wiceprzewodniczącą naszego Klubu, prowadzi Kronikę Klubową i pisze piękne okolicznościowe wiersze. Pani Sabina odwiedza chorych emerytów uczelni, a pani Władzia chętnie włącza się we wszystkie prace organizacyjne w Klubie.

Wraz z innymi członkami Zarządu Klubu pracujemy zgodnie pod egidą dzielnej, wieloma talentami obdarzonej pani Gizelli Bober. Cieszymy się, że Klub Seniora PG ma już wiele osiągnięć w swej 10-letniej działalności i że znalazł wielu sympatyków pośród emerytów uczelni oraz paru naśladowców w innych uczelniach w kraju.

*Lubomira Jankowska
Klub Seniora*

Oplątek 2000



Przemówienie ks. arcybiskupa na spotkaniu z Seniorami 8.01.2000 r.

Dzień, dla którego dzisiaj spotkaliśmy się - trzeba przyznać - jest momentem szczególnie nam bliskim, bo przynosi atmosferę wigilii, domowej wigilii, tutaj do tej rodziny, która również ma charakter głębokich więzów wzajemnych. Dziesięciolecie tego środowiska i utrzymywanie się nieustannej więzi między osobami stowarzyszenia świadczy o tym, że jesteście bliscy sobie mimo upływu lat. Politechnika dla nas jest drugim domem. Najlepszy dowód, że poszukujemy możliwości, by w tym drugim domu, gmachu Politechniki, domu nam tak bliskim, spotkać się również na oplatku. Drodzy Państwo, kiedy mówimy: dziesięciolecie Stowarzyszenia, to nam się to kojarzy również z faktem, iż jest to dziesięciolecie wolnej, niezależnej Ojczyzny i państwa. To dziesięciolecie wpisuje się w tamtą rocznicę. Życzymy sobie wzajemnie, by Bóg nam błogosławił, by Bóg błogosławił naszej Ojczyźnie. Powiedzieliśmy przed chwilą, że pustych miejsc w Politechnice nie zostawiamy, po nas przychodzą młodzi ludzie, naukowcy, znakomici twórcy, jak w rodzinie, która się nigdy nie starzeje. Politechnika też się nie starzeje. Odchodzi na emeryturę starsze pokolenie, przychodzą młodzi twórcy, młodzi naukowcy, i uczelnia żyje. Co więcej, Pan Rektor przed chwilą mówił o rozwoju uczelni, nie tylko liczbowym, ale jestem przekonany, że jest to kontynuacja Waszych, Drodzy Państwo, twórczych wysiłków. Dlatego składamy sobie dzisiaj życzenia indywidualne, żebyśmy zdrowi byli, żebyśmy mogli, jak mówił pan Rektor przed chwilą, spotkać się za rok w tym samym gronie. Ale również życzymy Politechnice rozwoju we wszystkich dziedzinach, i wreszcie życzymy sobie wzajemnie, by Ojczyzna nasza rozwijała się pomyślnie, a my byśmy się dobrze, jako jej dzieci, w tej Ojczyźnie czuli. Rok 2000, przypominamy sobie, jest to rok dwutygodniowy od narodzenia Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Jest to również okazja do głębokiej refleksji, kim jest dla mnie Jezus Chrystus, nie tylko w wymiarach czysto kulturowo-cywilizacyjnych, ale kim jest dla mnie Jezus Chrystus, dla mnie osobiście. Ten, który zjednoczył się ze mną, jako z człowiekiem, dzieląc los człowieka we wszystkim, oprócz grzechu. Dlatego życzymy sobie również i tego, by można było światu powiedzieć, razem z Papieżem, nie lękajcie się otworzyć drzwi Chrystusowi, on wprowadza w wasze życie to wszystko, co jest sensem, co jest jasno określonym celem i co jest pełnią człowieczeństwa. Dlatego życzymy sobie wzajemnie, byśmy byli czytelnymi chrześcijanami na polskiej ziemi i byśmy mogli, idąc do Europy, w sensie: do

KLUB SENIORA

Jubileusz Klubu Seniora
bo dziesięć lat już istnieje,
i nam wszystkim seniorom
życie umiła
swymi i dla nas wydaniami
przyjęć uroczystych dorocznych świąt,
okraszonych
rektorskimi przemówieniami
z taką troską o nas,
które w serce zapada
i wzruszenia tży wyciska.

Dla nas Klub Seniora
jest drugim domem,
gdzie powspominać sobie można
o pracy w Politechnice,
i popatrzeć na siebie,
i lata policzyć życia,
które nieubłaganie mija,
i cieszyć się tym,
co los nam daje
w późnej jesieni naszego bytu.

W Klubie Seniora
praca wre codziennie
Pań i Panów,
którzy się poświęcają
swoim podopiecznym
w ich kłopotach i zgrzytotach,
jakich doświadczają
na scenie swego życia.

I ta jedna, najpierwsza,
pomysłem takim oświecona,
założyła Klub Seniora,
i wszystko czyniła i czyni,
by to życie nam umilić,
choć nieraz tak umęczona,
to Pani Gizella Bober,
najwspanialsza pięknem duszy,
i serca wielką czułością.

*Wanda Drygalska
Klub Seniora*

struktur europejskich, powiedzieć: "Europa, kształtowałaś swoją tożsamość przez dwa tysiące lat na fundamencie ewangelii, nie może być dzisiaj ani jutro inaczej, skoro przez dwa tysiące lat Europa tak cudownie kształtowała swoją tożsamość, mimo dramatów, które zdarzały się również na naszym kontynencie. Drodzy Państwo, jestem Wam bardzo serdecznie wdzięczny za to, że mogę wśród Was spędzić to dzisiejsze popołudnie, dodajmy, jest to drugie święto Bożego Narodzenia. Ja się wcale nie mylę, bo nasi grekokatolicki bracia mają dzisiaj drugie święto Bożego Narodzenia - wczoraj mieli pierwsze, a więc można powiedzieć, że dzisiaj są Święta Bożego Narodzenia u naszych braci grekokatolików, a także u naszych braci prawosławnych, którzy tak jak my adorują Chrystusa Nowonarodzonego.

Zakończmy modlitwą w intencji Ojczyzny.

*Metropolita Gdański
ks. arcybiskup Tadeusz Gocłowski
(fot. T. Chmielowiec)
(tekst według zapisu na taśmie video)*



*Ks. arcybiskup Tadeusz Gocłowski, metropolita gdański
z prof. Aleksandrem Kołodziejczykiem, rektorem PG*



Zarząd Klubu Seniora PG!

Szanowne Koleżanki i Koledzy!

Dziękuję serdecznie za zaproszenie mnie na spotkanie jubileuszowe naszego Klubu. Żałuję, iż stan zdrowia i wiek uniemożliwiają mi wzięcie udziału w tej uroczystości. Zawsze ceniłem sobie uczestnictwo w spotkaniach klubowych. Jestem także pełen uznania dla pracy Zarządu Klubu.

Chcę przy tej okazji podziękować Państwu za przekazane mi przez przedstawicieli Klubu w osobach pani Gizelli Bober i pana Ryszarda Skarżyńskiego - kwiaty i życzenia z okazji moich 95 urodzin, a także przekazać życzenia zdrowia, pogody ducha i wszelkiej pomyślności w nowym 2000 roku.

Z wyrazami szacunku

Gdańsk 01.02.2000 r.

Dziesięć lat



Powitanie gości na Jubileuszu Klubu Seniora

Szanowni Państwo !

10 lat to dla jednych długi okres czasu, dla drugich - mgnienie oka. Dla nas, Seniorów, także.

Dziś pragnę podzielić się z Państwem kilkoma refleksjami. Kiedy rozpoczynaliśmy naszą działalność w roku 1990, w najśmielszych przypuszczeniach nie przewidywaliśmy, że Klub Seniora w tak krótkim czasie zbliży do siebie tak wielką rzeszę osób - ludzi, których połączyło to miejsce - mury Politechniki Gdańskiej.

W wielu sercach pozostało wspomnienie lat spędzonych na Uczelni - sentyment dawnych wspomnień; to przecież duża część życia, nie tylko zawodowego, pozostawiliśmy w tych murach.

Zaczynaliśmy od garstki pasjonatów, którzy pod łaskawym okiem ówczesnego Rektora pana prof. Edmunda Wittbrodta z pasją i potrzebą wspólnego działania powołali Klub.

Dziś Klub Seniora obejmuje opieką 1500 osób, w naszych spotkaniach z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy uczestniczy około 850 osób. Również Wieczera Wigilijna dla Samotnych, jak i Spotkania z Nauczycielami Akademickimi cieszą się coraz większą frekwencją.

Klub Seniora przyciąga również coraz liczniejsze grono przyszłych emerytów, którzy są naszymi przyjaciółmi na co dzień. Spotykamy się z życzliwością i wsparciem Władz Uczelni, a przede wszystkim JM Rektora pana prof. Aleksandra Kołodziejczyka.

Nie wygłoszę dziś obszernego sprawozdania z naszej 10-letniej działalności. Za zgodą JM Rektora sprawozdanie, jak i inne materiały z naszego życia, zostaną wydrukowane w jubileuszowym PIŚMIE PG w terminie późniejszym.

Jest to prezent jubileuszowy Pana Rektora dla Klubu Seniora, za co serdecznie dziękujemy.

Muszę tu jeszcze zaznaczyć, że cały Zarząd pracuje społecznie, nie szczędząc sił i zdrowia.

Tworzymy zgrany od wielu lat zespół, bez którego Klub nie mógłby istnieć.

Dziękuję serdecznie całemu Zarządowi za współpracę i pomoc w realizacji naszych zamierzeń.

Wielkie dzięki składam JM Rektorowi za okazywaną nam pomoc, opiekę i sympatię.

Dziękuję serdecznie Władzom Uczelni - Państwu Prorektorom, Pani Dyrektor Ewie MAZUR i jej zastępcom, że zawsze są z nami, poświęcając niejednokrotnie swój wolny czas.

Dziękuję Panu Kierownikowi Biura Rektora i Jego personelowi. Dziękuję Przewodniczącym Związków Zawodowych i Członkom Prezydium za ogromną przychylność i pomoc w każdej potrzebie.

Dziękuję naszym przyjaciółom - poszczególnym pracownikom Uczelni. Wszak bez ich wsparcia i konkretnej pomocy przy organizowaniu naszych corocznych spotkań niewiele moglibyśmy zdziałać sami, nawet z całym naszym zgranym i ofiarnym Zarządem Klubu.

Dziękuję Pani Kierownik Działu Socjalnego i jej pracownikom za okazywaną nam życzliwość i pomoc.

Dziękuję Paniom z Kwestury, które okazują naszym Seniorom wiele serca i cierpliwości przy wypłacaniu pieniędzy upominkowych.

Dziękuję wszystkim za życzliwość, wyrozumiałość i za okazywane nam serce.

Nam przybywa lat i wciąż ubywa sił i zdrowia, choć nie brakuje pomysłów i entuzjazmu do pracy. Jestem pewna, że nowe dziesięciolecie, które otwiera się przed nami, upłynie także pomyślnie, jak i to pierwsze, ku radości i pożytkowi wszystkich naszych Seniorów.

Cieszę się, że spotkaliśmy się tutaj i teraz wszyscy razem, Seniorzy i najmilszy nasi Goście; czeka nas piękny koncert w wykonaniu najlepszych artystów - pedagogów Wyższej Szkoły Muzycznej i Opery Bałtyckiej z Gdańska, a także wspomniały tort urodzinowy i lampka wina.

Serdecznie zapraszam! A jeszcze przed tym, jeśli wolno, to proszę o zabranie głosu JM Rektorowi Pana prof. Aleksandra Kołodziejczyka.

Gizella Bober
Przewodnicząca Klubu Seniora
(fot. T. Chmielowiec)

Najcenniejsi są ludzie

Wystąpienie JM Rektora PG

Szanowny Panie Senatorze, Drodzy Państwo!

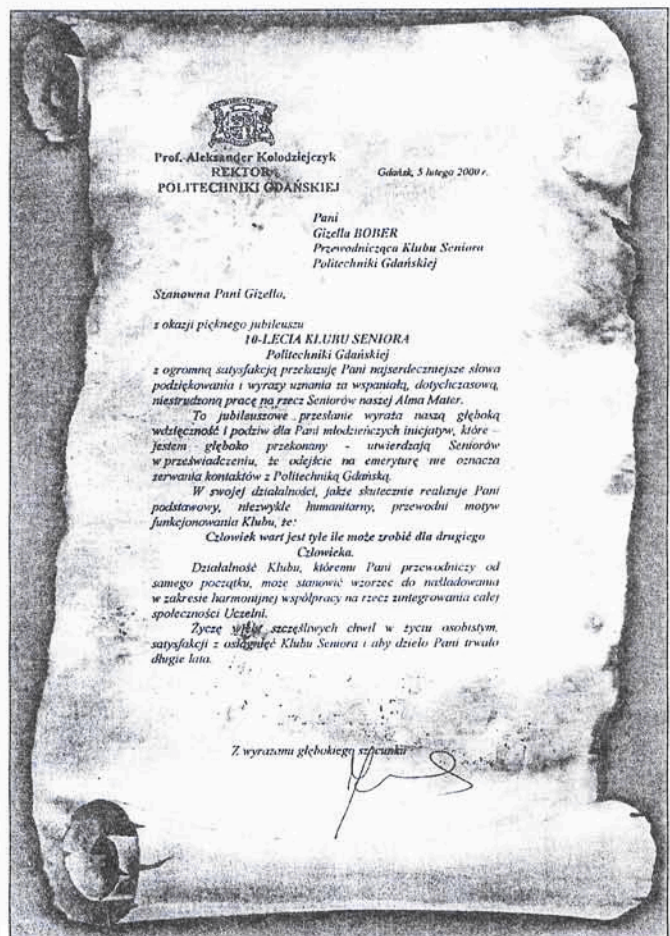
Minęło dziesięć lat. Jest to niewiele, a tak dużo w tym czasie się zdarzyło. Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że Klub Seniora przy Politechnice Gdańskiej powstał prawie w tym samym czasie, kiedy rodziła się III Rzeczpospolita. Był to okres znamienity tym, że po dziesięcioleciach politycznego uzależnienia Polski, wliczając w to okupację, tłumienie swobód obywatelskich i pogardzanie ludzką inicjatywą, dokonywały się w Kraju wielopłaszczyznowe przemiany: polityczne, społeczne, ekonomiczne i również, chociaż znacznie wolniej, moralne. Ilek entuzjazmu i nadziei budziły te wszystkie przemiany. Teraz, kiedy minęła dekada od rozpoczęcia budowania nowego ładu, spróbujemy odpowiedzieć na pytanie: czy przemiany poszły we właściwym kierunku i czy spełniły się nasze oczekiwania? Gdybyśmy się oparli jedynie na wynikach prowadzonych sondaży i ankiet, ze zdumieniem przekonalibyśmy się, że tylko niewielka część Polaków zadowolona jest z dokonanych przemian i osiągniętych rezultatów. A przecież obiektywnie trzeba przyznać, że Polska dawno nie osiągnęła tylu sukcesów i od wieków nie znalazła się w tak dobrej sytuacji międzynarodowej. Do największych osiągnięć minionego dziesięciolecia należy zaliczyć odzyskanie suwerenności politycznej, a ponadto wprowadzenie systemu demokratycznego, który, jak przekonaliśmy się, wymaga dalszego doskonalenia. W latach 90. dochód narodowy wzrósł dwukrotnie. Prawda, że PNB w latach 80. spadał, więc zaczęliśmy od niskiego poziomu, ale mógłby nadal spadać lub pozostać na poziomie z 1990 r., co przydarzyło się niektórym naszym sąsiadom. Przed rzeszami ludzi, szczególnie młodych, otworzyły się możliwości wielkiej kariery. Liczba studiującej młodzieży potroiła się. Dlaczego, mimo to, jesteśmy malkontentami? Na pewno są tego realne powody, chociażby takie, że w pewnych dziedzinach gospodarki i życia nie nastąpiły oczekiwane zmiany, a niektóre przemiany zachodzą za wolno. Pamiętajmy jednak, że szybko dokonują się jedynie rewolucje, a od takich przemian zachowaj nas Boże. Ponadto zmiany, jakie zachodzą w Polsce, są niesłyszalnie trudne i, jak dotychczas, nikt przed nami drogą takich przemian nie szedł; jesteśmy więc pionierami. Zmiany tego typu muszą odbywać się ewolucyjnie, a ewolucja z natury jest powolna. Co i dlatego rozczarowuje nas najbardziej? Myślę, że przede wszystkim rozczarowali nas ludzie, którzy w naszym imieniu sprawują władzę. A może nasze oczekiwania były zbyt duże?

Wydawało nam się, że kiedy minęły czasy, w których nie dbało się o ludzi, kiedy ustami swojego rzecznika rząd twierdził, iż wyżywi się sam, a chętnie wymieniłby nawet społeczeństwo, wtedy wydawało się, że po rządzie uzależnionym od innych niż Naród mocodawców nową władzę mogą utworzyć tylko lepsi politycy i menażerowie. Osobiście nie twierdzą, że obecnie są gorsi, ale wielu z nich nie spełnia społecznych oczekiwań. Spodziewaliśmy się, że ludzie podejmujący szczytną funkcję służenia społeczeństwu okażą się nieskazitelni, odporni na pokusy, a także niepodatni na korupcję. Tymczasem ideały pozostają jedynie w sferze marzeń. Pośród najwyższych elit znalazły się osoby pazerne, skore do szybkiego bogacenia się, wiele z nich utraciło wrażliwość na krzywdę i potrzeby zwykłego obywatela, nie mówiąc już o słabych, schorowanych, nieprzystosowanych i potrzebujących opieki członkach społeczeństwa. Ponadto niezrozumiałe wydają się podejmowane decyzje. Brakuje środków na godziwe wynagrodzenie pielęgniarek, ale nie brakuje pieniędzy na sówicie opłacanych 21 członków rad nadzorczych poszczególnych Kas Chorych. Brakuje na opłacanie zajęć pozalekcyjnych dzieci,

przez co szukają rozrywek na ulicy, ale są pieniądze na horrendalne odprawy dla menedżerów zwalnianych za nieudolność. Brakuje funduszy na potrzeby bezpieczeństwa, ale są - na wspieranie wielkich socjalistycznych bankrutów przemysłowych. A wszystko dlatego, że brakuje odpowiedzialnych, uczciwych i oddanych, dawniej powiedzielibyśmy: przywódców, dzisiaj często mówi się: liderów, a w zwyczajnych słowach po prostu ludzi, którzy chcieliby służyć innym, dawać z siebie co najlepsze, bo na tym polega dobroć i od tego zaczyna się droga do szczęścia.

Tak, proszę Państwa, w każdym przedsiębiorstwie najważniejsi są ludzie, od nich zależą kondycja i rozwój każdej instytucji. W naszej Uczelni też są organizacje, zrzeszenia i koła martwe, ponieważ nie ma w nich ludzi, którzy by tchnęli w nie ducha, pobudzili do działania zarząd i pojedynczych członków. Natomiast szcycimy się naszym Klubem Seniora, podziwiamy troskę i opiekę, jaką otacza swoich podopiecznych. Ten dziesięciolecie nas nie zawiódł. Jest to na pewno zasługą całego Zarządu, ale niewątpliwie dobrym duchem i sprawczynią większości osiągnięć jest pani Gizella Bober, organizatorka i przewodnicząca Klubu, jedynego w swoim rodzaju zrzeszenia w kraju. Przychodzą tu inni, żeby się uczyć i brać przykład. Wielu członków Klubu z ufnością składa swój los w jej ręce. Doprawdy, trudno znaleźć tak oddanych i zaangażowanych ludzi. Politechnika Gdańska miała to szczęście. Bardzo się z tego cieszymy i dziękujemy Pani za wszystko. Życzymy dużo zdrowia, radości i satysfakcji z pracy dla innych. Niech ten list gratulacyjny i bukiet kwiatów będą symbolem naszej wdzięczności, pani Gizello, za pani trud, serce, oddanie, poświęcenie i zrozumienie.

*Prof. Aleksander Kolodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej*



Drodzy i wspaniali Seniorzy!

Wystąpienie Senatora RP

Szanowni Państwo!
Drodzy i Wspaniali Seniorzy!
Magnificencjo Rektorze!

Przede wszystkim chcę rozpocząć od wyznania, że bardzo chciałem być dzisiaj z Państwem. Jestem tu pomimo, że niedawno, bo o drugiej w nocy, zakończyły się obrady Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

W nawiązaniu do wystąpienia pana rektora, chcę powiedzieć, że głosowaliśmy między innymi poprawki do ustawy kompetencyjnej, tzw. czyszczącej, która ma między innymi ograniczyć zapędy płacowe samorządów i spółek z udziałem skarbu państwa. Z wystąpienia magnificencji odnoszę wrażenie, że jakby zamieniliśmy się rolami. Pan rektor miał wystąpienie w znacznej części polityczne, natomiast ja chciałbym mówić o Waszym Jubileuszu, o tym czym jest Klub Seniora, czym Klub był dla mnie od samego początku jego istnienia. Jest prawdą, że gdyby hasło wiszące przed Państwem na ścianie i zamieszczone w zaproszeniu na dzisiejszą uroczystość przyświecało nam wszystkim, tak jak przyświeca Wam, to pewnie byłoby zdecydowanie lepiej. Kiedy rozpoczęły się zmiany systemowe w kraju, kiedy rozpoczęto władzę przekazywać społeczeństwu, nikt się nie spodziewał jak to będzie może przebiegać, w którym

miejscu i jakie pojawią się problemy i niespodzianki. Nikt nie wiedział jak społeczeństwo jest przygotowane do tych zmian pod względem etycznym i moralnym. Jak było przygotowane do podejmowania samorządnych decyzji, w tym ustalania sobie płac, które budzą wiele słusznych zastrzeżeń. Konieczne stały się regulacje, które być mogą być odbierane jako ograniczające samorządność.


Szanowni Państwo! Chciałem być z Wami, by przyznać i powiedzieć, że miałem ogromne szczęście dziesięć lat temu, kiedy to miałem zaszczyt pełnienia obowiązków rektora Politechniki Gdańskiej. To właśnie wtedy z inicjatywy pani Gizelli Bober oraz paru innych osób zrodziła się inicjatywa powołania Klubu Seniora Politechniki Gdańskiej. Nie miałem wtedy żadnych wątpliwości, by tę inicjatywę wspierać. Wówczas nawet nie przypuszczałem, że Klub może się tak wspaniale rozwinąć. Nie tylko rektor, ale i cała uczelnia może być z tych dokonań dumna. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że Klub Seniora podglądają dziś inni, którzy nam zazdroszczą, a nawet usiłują powielić nasz wzór.

Klub powstał nie tylko po to, abyście Państwo mogli się spotykać, wymieniając wspomnienia i przypominając sobie to, co działo się na uczelni w czasach Waszej aktywności zawodowej, ale także po to abyście mogli nadal śledzić losy naszej wspólnej Alma Mater. Abyście mogli nadal żyć problemami uczelni, widzieć jak uczelnia się rozwija, jakie zmiany w niej zachodzą.

Chciałem być z Wami, aby Wam pogratulować tej wspaniałej aktywności, której efekty w ciągu dziesięciu lat są ewidentne dla wszystkich. To dzięki Wam wszystkim. Choć czas jest nieubłagany i być może sił trochę mniej, jak to powiedziała pani Gizella, to jednak tego nie widać po aktywności Klubu. To pewnie są indywidualne odczucia. Z tego jak Klub się rozwinął w minionym 10-leciu wynika zapowiedź kolejnych dobrych dziesięciu i więcej, a może nawet i stu lat. Chciałem być z Wami, by Państwu życzyć, aby Klub Seniora Politechniki Gdańskiej rozwijał się dalej tak wspaniale jak dotychczas. Chcę życzyć każdemu z Was z osobna, przede wszystkim wiele dobrego zdrowia, długich i szczęśliwych lat życia. Chciałbym żebyśmy się spotykali w Klubie Seniora tak często jak to tylko jest możliwe. Mam też nadzieję, że za ileś tam lat, będąc już pełnoprawnym członkiem Klubu, będę mógł - tak jak Wy teraz - utrzymywać kontakt z uczelnią. Taką nadzieję daje mi Wasz Klub Seniora.

Pani Gizello, proszę o przyjęcie gratulacji oraz życzeń wszelkiej pomyślności. Proszę też o przyjęcie stosownego pisma gratulacyjnego dla całego Klubu Seniora. Wszystkiego dobrego. Dziękuję Państwu za uwagę.

Prof. Edmund Wittbrodt
Senator Rzeczypospolitej Polskiej


SENATOR
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Prof. dr hab. Edmund Wittbrodt

Gdańsk, 5 lutego 2000 r.

Pani
Gizella Bober
Klub Seniora
Politechniki Gdańskiej


Wielce Szanowna Pani Gizello!
Drodzy i Wspaniali Seniorzy!

Z okazji 10-lecia działalności Klubu Seniora Politechniki Gdańskiej pragnę złożyć swoje najserdeczniejsze gratulacje i życzenia.

Jestem szczęśliwy nie tylko dlatego, że miałem możliwość być świadkiem powołania Klubu Seniora w 1990 roku, ale przede wszystkim obserwując jak wspaniale i pięknie Klub się rozwija. Z Waszej aktywności wzory mogą i powinni czerpać inni! Gratuluję Wam tego szczerze.

Działalność Klubu Seniora to nie tylko możliwość spotykania się, ale stanowi ona naturalne przedłużenie aktywności zawodowej w naszej Alma Mater. Napawają mnie to ogromnym optymizmem. Życzę Klubowi Seniora wszelkiej pomyślności i wspaniałego dalszego rozwoju. Wszystkim Seniorom życzę wspaniałego zdrowia i długich lat życia.

Z wyrazami najwyższego szacunku



Dziesięć życzeń na dziesięciolecie Klubu Seniora

Oto jest życzenie pierwsze
bardzo ważne i najszersze:
"W zdrowiu żyj nam lata długie
zasłużony zacny Klubie!
Niechaj władze Cię kochają
i jak dotąd pomagają!"

Zaś życzenie nasze drugie
w pieśń wesolą niech się wplata
byś nam dalej miły Klubie
był najlepszym Klubem świata!

Oto i życzenie trzecie -
niechaj na dziesięciolecie
hymn uznania zaśpiewają
wszyscy, którzy nam sprzyją,
a my chętnie posłuchamy
miłych serc naszych peanów.

A życzenie nasze czwarte
może z nich najwięcej warte
życzliwości i pomocy
dawaj Klubie wszystkim wiele
i niech będzie to na zawsze
Twoim głównym celem.

A dalej życzenie piąte -
- że się spełni - w to nie wątpię -
by harmonia, przyjaźń, zgoda
zawsze w Klubie panowały
i by wszystkie plany nasze
zawsze się spełniały.

Zaś życzenie szóste i siódme do pary
to - by dobre wróżki
nam wyczarowały
dużo zarowia i do pracy dużo siły
i byś zawsze rósł w dostatek
nasz Ty Klubie miły!

A życzenie nasze szóste
będzie nieco tajemnicze -
niechaj wszystkie dobre bogi
przytączą się do tych życzeń
zapewniając wszystkim w Klubie
życie beztróskie i długie.

A dziewiąte i dziesiąte
niechaj będą jak to piąte
i sto innych niech się wplecie
w następne dziesięciolecie.

*Jadwiga Lipińska
Klub Seniora*



*Występy artystów z Wyższej Szkoły Muzycznej
i Opery Bałtryckiej*

Jubileusz dziesięciolecia Klubu Seniora PG

Doczekaliśmy się właśnie pięknego jubileuszu. Dziesięć lat w naszym wieku emeryta-seniora - to bardzo dużo. A czas ten przeleciał nam jak mgnienie oka. Ileż to było pomysłów i narad, żeby jak najlepiej uczcić ten nasz dzień jubileuszowy. Czego to nie proponowaliśmy, jaki wspaniały program roił nam się w głowach. Cały świat powinien dowiedzieć się o naszym jubileuszu! Iluż miało być zaproszonych gości, i jakich ważnych! Jakie to wydawnictwa renomowane miały promować naszą historię i nasze dokonania! Jakie to sale koncertowe miały nam służyć, a jaki wspaniały repertuar nam się marzył, nie mówiąc już o ekskluzywnym przyjęciu z mnóstwem świec do zdmuchnięcia na urodzinowym torcie, a ile to butelek szampana miało służyć niekończącym się toastom, a ile to koszy owoców południowych miało upiększać nasze stoły biesiadne!

No tak. Wyobraźnia nam, jak widać, dopisywała. Jak to miło było wyobrażać sobie taką wielką galę jubileuszową i snuć fantastyczne plany! Rosło nam przy tych rozważaniach serce, bijąc przyspieszonym rytmem wielu serc politechnicznych seniorów.

Aliści, im bliżej było magicznej daty naszego jubileuszu, tym częstsze i większe następowały cięcia programowe, a co najważniejsze, nasza wyobraźnia uspokoiła się bardzo wyraźnie. Rozmowy na różnych szczeblach wprowadziły rozagę i pewien spokój.

Ale, wróćmy do "naszych baranów", jak mówią Francuzi. Na jubileuszowe szaleństwo wybrany został dzień 5 lutego 2000 roku, uzgodniony z harmonogramem prac JM Rektora, prof. Aleksandra Kołodziejczyka. Obecność bowiem na uroczystościach JM Rektora była dla nas najważniejsza. Dopiero po uzgodnieniu tej daty rozpoczęły się naprawdę gorączkowe, rozsądnie zaplanowane przygotowania do naszego święta. Zaproszenia wykonane zostały na pięknym papierze w kolorze jasnogranatowym, srebrnymi literami. Wysłano ich wiele do wielu dostojnych gości, tylu - ilu mogła pomieścić nasza szacowna aula. Niestety, nie mogła pomieścić wszystkich naszych seniorów. Większość zatem z nich zaproszona była z okazji jubileuszu wcześniej, w połączeniu z oplatkiem i świętowaniem tego znamienego, także jubileuszowego, roku 2000, z udziałem JE Metropolity Gdańskiego, arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego. Arcybiskup w swoim wystąpieniu (patrz str. 12) przekazał seniorom wiele życzeń, zarówno świątecznych, jak i z okazji 10-lecia, jubileuszu naszego Klubu Seniora. W nawiązaniu także do tego jubileuszu, 23 stycznia 2000 roku zamó-



Zarząd Klubu Seniora podczas spotkania jubileuszowego

wiona została msza św. w intencji naszych drogich Seniorów, a miał odprawić ją osobiście arcybiskup gdański. Niestety, nie mógł on przybyć na tę mszę św. z powodu bardzo ważnych swoich obowiązków duszpasterskich, czym sprawił zawód wszystkim tak licznie przybyłym na tę mszę św. Seniorom. Mszę św. celebrował w zastępstwie ks. infułat Stanisław Bogdanowicz, z Katedry Mariackiej w Gdańsku. JE arcybiskup Gocłowski był również zaproszony na nasz jubileusz 5 lutego i również z podobnych powodów nie mógł być obecny w tym dniu wśród nas. Zaproszeni byli na jubileuszowe uroczystości, szczególnie drodzy nam, Pan Senator prof. Edmund Wittbrodt, który był i jest niejako ojcem chrzestnym naszego Klubu, a który specjalnie, wprost z nocnego posiedzenia Senatu, przyjechał do nas samolotem z Warszawy. Dalej przybył JM Rektor prof. Aleksander Kołodziejczyk, nasz najlepszy przyjaciel, przybyli zaproszeni prorektorzy, dziekani oraz dyrekcja administracyjna uczelni, a także kierownicy poszczególnych działów z Biurem Rektora i Działem Socjalnym na czele. Witaliśmy serdecznie przedstawicieli Seniorów z bratnich uczelni trójmiasta, a także byłego dyrektora administracyjnego Politechniki, z czasów powstawania naszego Klubu; przybyli dalej serdecznie zaproszeni przedstawiciele związków zawodowych, Biblioteki Głównej i Akademickiego Ośrodka Zdrowia oraz najbliższe naszemu sercu te osoby spośród pracowników uczelni, które zawsze tak chętnie i dzielnie pomagają nam przy organizowaniu wszelkich naszych spotkań z Seniorami. Wśród naszych jubileuszowych gości 5 lutego przeważali zacni i zasłużeni nauczyciele akademicy oraz inni najstarsi wiekiem i stażem byli pracownicy uczelni.

Dekoracja auli - niezwykle skromna - zachwyciła wszystkich swoją prostotą i wytwornością. Była ona dziełem naszej przewodniczącej kol. Gizelli Bober. W tle widniał duży emblemat Klubu w kształcie koła w kolorze - podobnie jak zaproszenia - jasnogrnatowym, obrzeżony srebrnym otokiem, niby wieńcem laurowym, z umieszczoną w środku jubileuszową rzymską dziesiątką. Całości dekoracji dopełniał, złożony ze srebrnych liter, na jasnogrnatowym tle, napis - motto naszego



Jubileuszowy toast

Klubu: "Człowiek jest tyle wart, ile może zrobić dla drugiego człowieka". Pod napisem zaś, w misternie plecionym dużym dzbanie stały piękne, ogromne, różnokolorowe papierowe niby-róże. Nie brakło też i prawdziwych, żywych róż, których w trakcie uroczystości pojawiało się coraz więcej.

Następnie były przemówienia. Pierwsze przemówienie poprzedzone zostało gorącym powitaniem gości przez Panią Przewodniczącą Klubu Gizellę Bober, wspomaganą przez klubowego kolegę, członka zarządu Klubu, pana Ryszarda Skarżyńskiego. Słowa pani przewodniczącej skierowane do zaproszonych gości zamieszczono na str. 12. Następnie głos zabrali JM Rektor prof. Aleksander Kołodziejczyk (str. 13) i senator RP prof. Edmund Wittbrodt (str. 14). Podziękowali oni bardzo serdecznie Pani Przewodniczącej Klubu Seniora Gizelli Bober za ofiarne prowadzenie i przewodniczenie Klubowi oraz całemu Zarządowi Klubu, składając gorące gratulacje i życzenia zdrowia i dalszej pomyślności na następne dziesięć lat i więcej. Na ręce Pani Przewodniczącej złożyli od siebie pięknie oprawione listy gratulacyjne, których treść skwapliwie przekazujemy, aby pozostały w naszej - Seniorów - pamięci przez długie, długie lata! Do listów gratulacyjnych dołączone zostały przepiękne bukiety kwiatów.



Występy artystów z Wyższej Szkoły Muzycznej i Opery Bałtyckiej

Nadeszła następnie kolej na występy artystyczne, zaprzyjaźnionych już od dawna z nami, artystów i pedagogów Wyższej Szkoły Muzycznej i Opery Bałtyckiej, którzy swoim wspaniałym repertuarem uświetnili nasz jubileusz. Zostali oni później jeszcze z nami na długo w ciągu dalszego trwania, już mniej oficjalnej, części naszego święta. W tym miejscu dziękujemy bardzo serdecznie naszym Drogim Artystom ze wszystkich sił za przepiękne arie i pieśni, za minikoncert skrzypcowy i wspaniały akompaniament fortepianowy. Dziękujemy przede wszystkim pani Barbarze Sutt za zorganizowanie całości artystycznego programu i za Jej ciepłą, błyskotliwą i dowcipnie prowadzoną konferansjerkę. Dziękujemy po kolei wszystkim państwu artystom: Aleksandrze Kucharskiej-Szeffler, Marioli Szymczak, Beacie Glaza, Tomaszowi Krzysicy i Włodzimierzowi Wiesztordtowi.

Po tzw. części oficjalnej wszyscy goście zostali zaproszeni na dalszy ciąg jubileuszowej uroczystości do wielkiego holu przed aulą, gdzie czekały już ogromne stoły, jeden z leżącym na nim olbrzymim tortem urodzinowym, udekorowanym świątecznie cukrowym emblematem uczelni i napisem głoszącym dziesięciolecie Klubu Seniora PG. Na drugim, nie mniej dużym, stole stały w szeregu rzędy kielichów napełnione złotym winem. Pierwszy toast za pomyślność Klubu i jego Członków,

wzniósł Pan Rektor, zaś dalszym toastom nie było już końca. Następnie niestrudzony Pan Rektor przystąpił do krojenia tortu, który był arcydziełem sztuki cukierniczej, pomysłany jako zbiór wielu mniejszych tortów, składających się na ten jeden olbrzymi tort o wielu przemyślnych i wspaniałych smakach, od marcepanowego, poprzez pistacjowy do czekoladowego. Wokół obu centralnych stołów z tortem i kielichami wina, ustawione były małe stoliki dla gości, z tacami pełnymi słodyczy, mandarynek i fistaszków. Były też kawa i herbata. Miłe, zgrabne panienki roznosiły talerzyki z porcjami tortu, nalewały napoje. Goście wpisywali się do Księgi Pamiątkowej. A w czasie raczenia się tortami i winem, nasi mili goście-artysci uprzyjemniali nam go, śpiewając pieśni biesiadne i grając piękne melodie taneczne tak wspaniale, entuzjastycznie i zachęcająco, że wiele par puściło się nawet w tany.

Ach! Co to był za Bal Jubileuszowy! I ja tam byłam, jadłam tort i piłam wino, a co widziałam, co zapamiętałam i co przeżyłam, starałam się Państwu w tym krótkim reportażu przedstawić.

PS. Na uroczystości jubileuszowej u Seniorów była, a jakże, ekipa telewizyjna trzeciego programu Telewizji Gdańsk. Krótki reportaż z przebiegu tej uroczystości, wraz z wypowiedzią przewodniczącej Klubu pani Gizelli Bober i członka Zarządu Klubu pana Ryszarda Skarżyńskiego, został wyemitowany w lokalnej "Panoramie" już tego samego dnia wieczorem, ku wielkiej radości niektórych Seniorów uwiecznionych na krótkich filmowych migawkach. Wszak Telewizja to potęga! Zaś w gdańskiej gazecie - "Dzienniku Bałtyckim" ukazała się następnego dnia niewielka notatka pióra znanej gdańskiej dziennikarki pani Barbary Szczepuły-Ponikowskiej (córki emerytowanej profesor Wydziału Chemicznego naszej uczelni, pani Wandy Szczepułowej), która napisała słów kilka o naszym Klubie Seniora. Zostaliśmy w ten sposób z honorem uwiecznieni w lokalnych mediach! Cieszymy się ogromnie i dziękujemy.

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora
(fot. T. Chmielowiec)

Dziesięć lat minęło... jak jeden dzień



Uroczyste otwarcie Klubu Seniora
przez Rektora PG prof. Edmunda Wittbrodta

1. Klub Seniora powstał w listopadzie 1990 r., działając początkowo w ramach Koła Emerytów i Rencistów NSZZ Solidarność Politechniki Gdańskiej od października 1989 r. Członkami założycielami Koła byli: Gizella Bober, Jadwiga Lipińska, Janina Grześkowiak, Ryszard Skarżyński i Lubomira Jankowska.

Stopniowo z Koła Emerytów i Rencistów NSZZ Solidarność wyodrębniło się ogólnouczelniane koło i przyjęło nazwę Klubu Seniora PG.

Oficjalne otwarcie Klubu wraz z otrzymaniem własnego lokalu w Gmachu Głównym uczelni, pok. 153, nastąpiło dopiero w dniu 19 kwietnia 1991 r. Klub Seniora uzyskał aprobatę i daleko posuniętą pomoc zarówno ze strony JM Rektora prof. dr. hab. inż. Edmunda Wittbrodta, jak i dyrektora administracyjnego uczelni pana inż. Wojciecha Wójciaka.

2. Spośród napływających zgłoszeń do pracy społecznej ze strony byłych pracowników uczelni, wyłoniony został Zarząd Klubu, który w miarę upływu lat podlegał niekiedy małym zmianom składu osobowego. Początkowo Zarząd Klubu składał się z 12 osób. Przewodniczącą Klubu została wybrana kol. Gizella Bober, wiceprzewodniczącą - kol. Jadwiga Lipińska, sekretarzem - kol. Janina Grześkowiak (pani ta do dzisiaj sprawuje w Klubie swoje obowiązki) i skarbnikiem do 1994 r. była

kol. Maria Bogucka-Ledóchowska. Członkami Zarządu Klubu zostali: Ina Bratkowska, Bronisława Domańska (już nie żyje), Sabina Gawlińska, Lubomira Jankowska, Irena Kwiatkowska, Maria Mołczanow, Irena Łozińska i Ryszard Skarżyński.

3. Zarząd Klubu uchwalił ramowy regulamin pracy Klubu, dzieląc ją na poszczególne sekcje: socjalną, administracyjną, finansową i kulturalno-turystyczną.

W zakres **sekcji socjalnej** wchodzi pomoc chorym emerytom i rencistom (pomoc konkretna - materialna), odwiedzanie ich w domach, zapoznawanie się z ich potrzebami i problemami, i w ramach możliwości pomoc w ich rozwiązywaniu. Sekcję tę prowadziła i prowadzi nadal Sabina Gawlińska, dobierając sobie do pomocy chętnych kolegów.

Sekcja administracyjna pozostaje do tej pory pod opieką kol. Janiny Grześkowiak, która czuwa nad ewidencją wszystkich emerytów i rencistów uczelni, których mamy obecnie około 1500 osób. Sekcja współpracuje ściśle z Działem Socjalnym PG. Jest również założona dokładna kartoteka wszystkich członków Klubu z ich danymi osobistymi i adresami. W Klubie pełnione są codziennie (oprócz sobót i niedziel) dyżury w godz. 11-14. W sekcji tej obecnie pracują na stałe kol. kol. Ewa Kirkor i Jan Liwo.

Sekcja finansowa początkowo od 1995 r. prowadzona była przez kol. Marię Bogucką-Ledóchowską, a następnie przez kol. Urszulę Kentzer, także we współpracy z Działem Socjalnym PG i z pomocą przewodniczącej Klubu. Członkowie Zarządu Klubu opodatkowali się dobrowolnie kwotą 24 zł rocznie od osoby, przeznaczając ją na doraźne, wewnętrzne potrzeby Zarządu, jak np. na kwiaty bądź na małe poczęstunki dla zapraszanych od czasu do czasu z różnych okazji gości. Nad przydzieloną Klubowi kwotą dotacji z budżetu socjalnego dla emerytów czuwa, oprócz skarbnika, powołany 3-osobowy zespół w składzie: kol. kol. Ryszard Skarżyński, Janina Grześkowiak, Ina Bratkowska oraz przewodnicząca Klubu. Zespół ten ustala także każdorazowo na dany rok ścisły preliminarz wydatków Klubu.

Nad **sekcją kulturalno-turystyczną** sprawuje opiekę kol. Jadwiga Lipińska, wspólnie z kol. Gizellą Bober, Tosią Kiełtyką i przy pomocy wszystkich chętnych do tego rodzaju pracy koleżanek i kolegów. Sekcja organizuje sporadycznie prelekcje i odczyty na interesujące tematy, jak np. zioła, bursztyn, radieścieża, wspomnienia z zagranicznych wojaży czy pielgrzymek, Konstytucja 3 maja, zbrodnia katyńska itp. W minionym dzie-



Uczestnicy I Ogólnokrajowego Zjazdu Delegatów Seniorów Wszystkich Uczelni Technicznych w Polsce, 1998 r.

sięciolecie odbyło się około 10 tego rodzaju spotkań. Organizowane są także małe spotkania okolicznościowe przy kawie z okazji andrzejek, mikołajek lub zwyczajnie spotkania koleżeńskie w mniejszym gronie.

Sekcja prowadzi również na bieżąco kronikę Klubu, bogato ilustrowaną zdjęciami. Zorganizowano również, w ciągu tych lat, wiele wycieczek wypoczynkowo-turystycznych, w liczbie około 15, do lasu na grzybobranie i drugie tyle do ciekawych, choć nieodległych, miejscowości turystycznych, jak np. Łeba, Malbork, Pelplin, Gniew, Toruń. Puck, Półwysep Helski, Słowiński Park Narodowy, Żarnowiec, Krokowa, Gietrzwałd, Szlak Męczeńskiej Śmierci św. Wojciecha, Licheń czy Święta Lipka. Koszt wycieczek pokrywany jest głównie z funduszu socjalnego dla emerytów, zaś w pierwszych latach działalności Klubu z dotacji NSZZ Solidarność Politechniki Gdańskiej.

4. Przedstawiciele Zarządu Klubu, w osobach kol. kol. Iny Bratkowskiej i Ireny Kwiatkowskiej, biorą czynny udział w pracy uczelnianej komisji przydzielającej bezzwrotne zapomogi ubiegającym się o taką pomoc emerytom i rencistom. Ogółem, w ciągu całego okresu obejmującego to sprawozdanie udzielono około 1500 zapomóg. O zapomogi mogą ubiegać się będący w potrzebie emeryci i renciści o bardzo niskich emeryturach i rentach. W związku z tym, opracowany został przez Zarząd Klubu oddzielny, szczegółowy regulamin przyznawania tego rodzaju zapomóg. Wnioski rozpatrywane są komisyjnie z udziałem przedstawicieli Działu Socjalnego, przedstawicieli pracowników uczelni oraz związków zawodowych - NSZZ Solidarność i Związku Nauczycielstwa Polskiego.

5. Wszyscy członkowie Klubu Seniora otrzymują co roku pewne kwoty pieniężne, wyliczane każdorazowo w zależności od preliminarza wydatków ogólnych - na Nowy Rok, na Wiel-



Wieczera wigilijna w Klubie Seniora, 1999 r.

kanoc i na "wczasy pod gruszą"; wynoszą one przeciętnie od kilkudziesięciu do kilkuset złotych na osobę.

Koszt wszystkich spotkań ogólnych oraz pomoc udzielana chorym członkom Klubu, jak również udzielone zapomogi i finansowanie wycieczek klubowych pochodzą całkowicie z funduszu socjalnego dla emerytów.

6. Najstarsi emeryci, począwszy od 80. roku życia, otrzymują listy gratulacyjne w dniu swoich urodzin, przygotowane przez Biuro Rektora i z podpisem Jego Magnificencji Rektora, oraz kwiaty i podarek pieniężny od Klubu Seniora. Zarząd Klubu przestrzega pilnie tego ceremoniału, odwiedzając osobiście Jubilatów. Oprócz kol. Sabiny Gawlińskiej, opiekującej się sekcją socjalną, zajmuje się tym z dużym zaangażowaniem kol. Kazimierz Grzędzicki.

7. W ciągu minionego dziesięciolecia, Klub Seniora zorganizował 24 spotkania świąteczne (Boże Narodzenie i Wielkanoc) dla wszystkich członków Klubu, którzy licznie przybywają na takie spotkania, oraz 10 spotkań z nauczycielami akademickimi z okazji Dnia Nauczyciela, a także 4 spotkania wigilijne dla samotnych członków Klubu oraz samotnych pracowników uczelni.

8. Wszelkie prace związane z przygotowaniem wszystkich tych imprez, organizowanych przez Zarząd Klubu Seniora, wykonują osobiście i honorowo sami członkowie Zarządu



Andrzejkę i mikołajki, wróżby i wiersze

oraz zaprzyjaźnieni z nimi nieliczni pracownicy uczelni, przede wszystkim kol. kol. Ryszard Klokowski, Anita Bober i Adam Misterkiewicz. W pierwszych latach działalności Klubu pomagał nam dzielnie kol. Zbyszek Wiśniewski. W czasie dużych spotkań pomagają nam również, z wielkim zaangażowaniem, nasze wnuczka.

Apele o pomoc do licznych, co młodszych seniorów nie znajdują prawie wcale oddźwięku, a jest nam z roku na rok coraz trudniej podołać wszystkim obowiązkom. Co prawda nałożyliśmy je na siebie dobrowolnie, choć trochę z musu, ale jednak nadal potrzebujemy pomocy.

9. W roku 1998 Klub Seniora PG zorganizował ogólnokrajowy zjazd delegatów seniorów wszystkich uczelni technicznych w Polsce. Na zaproszenie odpowiedziało tylko 10 uczelni. Na tym spotkaniu nawiązano ścisłą współpracę z delegatami, powołując Ogólnokrajową Radę Seniorów Krajowych Uczelni Technicznych, pod przewodnictwem naszej przewodniczącej, kol. Gizelli Bober. Następne takie spotkanie zaplanowaliśmy na rok 2000. Naszemu spotkaniu patronował JM Rektor Politechniki prof. dr hab. inż. Aleksander Kołodziejczyk.

10. W dniu 27 sierpnia 1996 r. Klub Seniora PG dostał zaszczytu zaliczenia go do grona społeczności Politechniki Gdańskiej, co potwierdzone zostało na posiedzeniu Senatu uczelni w 12 lipca 1996 r.



Wycieczka do Malborka, 1998 r.



Występy Chóru Dziecięcego Szkoły Muzycznej
na Spotkaniu Oplatkowym

11. Klub Seniora prowadzi także magazyn używanych ubrań, które wszyscy potrzebujący mogą otrzymać w każdej chwili.

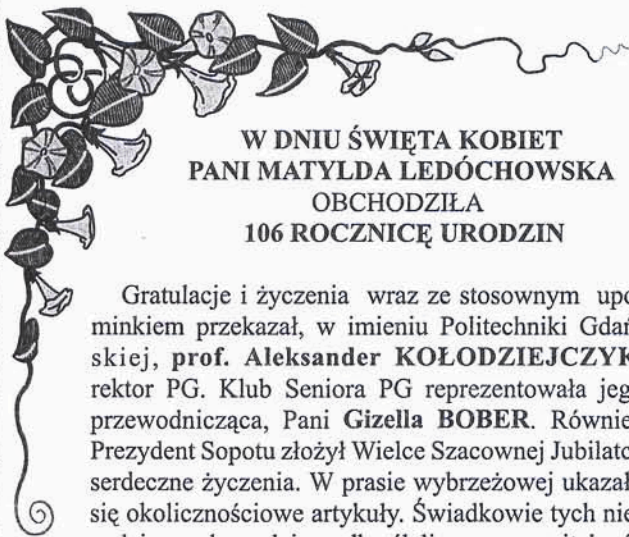
12. W pierwszych latach istnienia Klubu, na potrzeby wewnętrzne Klubu zorganizowane zostały dwie loterie fantowe oraz jedna zabawa dla dzieci; wtedy także członkowie Zarządu Klubu wykonywali własnoręcznie i sprzedawali w Klubie wieńce i wiązanki na Dzień Zmarłych. Z chwilą otrzymania funduszu socjalnego dla emerytów nie było już potrzeby starania się własnym przemysłem o potrzebne na działalność Klubu fundusze.

13. Kontakt z członkami Klubu utrzymujemy poprzez wysyłanie życzeń świątecznych, zaproszeń na świąteczne spotkania oraz inne okolicznościowe pisma. Prowadziliśmy także 5 lat temu ankietę wśród wszystkich członków Klubu, bardzo korzystną dla dotychczasowej pracy Zarządu. W roku 2000 planujemy przeprowadzić ponownie podobną ankietę. Kontakt

z członkami Klubu utrzymujemy także na co dzień poprzez tablicę ogłoszeń, na której uwidocznione są wszelkie ogłoszenia interesujące naszych emerytów oraz bieżące wiadomości. Czynny jest także codziennie telefon Klubu: 347 22 26.

14. Odzwierciedleniem całokształtu naszej klubowej działalności jest prowadzona od samego początku jego powstania Kronika Klubu Seniora, która uzupełnia w pewien sposób niniejsze sprawozdanie. Jest ona dostępna dla każdego, kto chciałby się z nią zapoznać. Kronikę prowadzi przez cały czas kol. Jadwiga Lipińska, która jest ponadto członkiem Zespołu Redakcyjnego PISMA PG, jako przedstawicielka Klubu Seniora.

*Gizella Bober, przewodnicząca
Jadwiga Lipińska, wiceprzewodnicząca
Klub Seniora*



**W DNIU ŚWIĘTA KOBIET
PANI MATYŁDA LEDÓCHOWSKA
OBCHODZIŁA
106 ROCZNICĘ URODZIN**

Gratulacje i życzenia wraz ze stosownym upominkiem przekazał, w imieniu Politechniki Gdańskiej, **prof. Aleksander KOŁODZIEJCZYK**, rektor PG. Klub Seniora PG reprezentowała jego przewodnicząca, Pani **Gizella BOBER**. Również Prezydent Sopotu złożył Wielce Szacownej Jubilatce serdeczne życzenia. W prasie wybrzeżowej ukazały się okolicznościowe artykuły. Świadkowie tych niecodziennych urodzin podkreślali ogromną witalność i znakomite poczucie humoru **najstarszej członkini społeczności Politechniki Gdańskiej**. Pani mgr **Matylda LEDÓCHOWSKA** urodziła się **8 marca 1894** w Austrii. Z Politechniką Gdańską związana jest od 1946 r. Pracę rozpoczęła jako lektor języka niemieckiego na Wydziałach Budowy Okrętów i Architektury. Opublikowała podręcznik do nauki j. niemieckiego "Das Schiff", w którym zastosowała słownictwo niemieckie dotyczące okrętownictwa.

Przez ostatnie lata pracy na PG była kierownikiem germanistyki w Studium Języków Obcych. Począwszy od 1956 r., corocznie w czasie wakacji prowadziła na Uniwersytecie Wiedeńskim kursy j. niemieckiego dla obcokrajowców. Swoje kontakty w Austrii wykorzystywała w celu uzyskania stypendiów dla studentów PG, dzięki czemu spora ich liczba mogła wyjechać w tym czasie do Wiednia na kursy językowe. Pracę w naszej uczelni zakończyła w 1972 r. Jako emerytka pracowała jeszcze przez wiele lat w Akademii Muzycznej w Gdańsku.



"Bratnia Pomoc" na Politechnice Gdańskiej w latach 1922-39 i 1945-49

"Jednodniówka" - finał jej działalności

Mimo pojawienia się już opisów działalności Zrzeszenia Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej powracam do tego tematu, gdyż sądzę, że nie obejmowały one wielu wątków istotnych dla poznania całej historii Zrzeszenia. Ponadto, przypomnienie całościowe wydaje mi się także dlatego istotne, a nawet pilne, gdyż obserwuje się, że wiele zdarzeń ucieka z pamięci ich świadków, a dla młodszych pokoleń są one zupełnie nieznanne.

Niech ten opis, być może zawierający braki, będzie prowokacją do wypowiedzi tych świadków, którzy jeszcze pamiętają choćby fragmenty tamtych zdarzeń. A jest ich już niewiele. Tej naszej historii nie można zapominać, bowiem "historia magistra vitae est" stale i wszędzie.

Organizacja zwana "Zrzeszenie Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej", w skrócie "Bratnia Pomoc" lub "Bratniak", była jedną z kilku przy uczelniach w naszym kraju. Jednak tu, w Gdańsku, przed wojną, była to organizacja o wyjątkowym znaczeniu. Również w pierwszych latach po wojnie, w ówczesnych warunkach, ta autentycznie samorządna organizacja miała doprawdy niemałe zasługi dla organizacji życia studenckiego. Jej aktywność, samorządność powinny być wzorem dla obecnie działających organizacji studenckich.

Aby odpowiednio zilustrować historię, a więc i znaczenie "Bratniaka", należy przedstawić choćby wybrane fragmenty z historii Politechniki Gdańskiej, od jej powstania, poprzez okres istnienia w Wolnym Mieście Gdańsku do 1939 r. Zainteresowanych bardziej szczegółowym opisem odsyłam do znakomitej książki S. Mikosa "Polacy na Politechnice w Gdańsku w latach 1904-1939", PWN 1987, z której m.in. i ja korzystam.

Natomiast opis działalności "Bratniaka" podczas kilku powojennych lat, już na polskiej uczelni, również godny jest poznania ze względu na nieco odmienne, ale trudne warunki działań, bardzo potrzebnych w ówczesnym życiu studenckim. Warto też zapoznać się z przyczynami politycznymi rozwiązania po wojnie tej zasłużonej samorządowej organizacji studenckiej i z losem studentów ówczesnie działających.

Oto krótka historia powstania Politechniki Gdańskiej oraz opis celu, jakiemu miała służyć według życzeń jej założycieli.

Politechnika Gdańska w roku 1904 i następnych

W dn. 16 marca 1899 r. profesorowie z uniwersytetów, politechnik i przedstawiciele przemysłu, na konferencji w Ber-



Dom akademicki "Bratniej Pomocy"

linie jednogłośnie opowiedzieli się za powstaniem politechniki we Wrocławiu. Jednak ówczesny minister oświaty Robert Bosse zdecydował, że politechnika powstanie w Gdańsku. Dlaczego? Wynika to m.in. z fragmentów przemówienia cesarza z dn. 6 października 1904 r., podczas inauguracji roku akademickiego: "Na niemieckiej ziemi zbudowany ... ten zakład ma istnieć i oddziaływać jako silna więź, z której... niemiecki duch powinien promieniować na kraj".

Sytuacja po 1918 r. w Wolnym Mieście Gdańsku

W 1919 r. w Warszawie, na zjeździe profesorów wszystkich polskich uczelni, uchwalono, by rząd podjął starania o nadanie Politechnice Gdańskiej w Wolnym Mieście Gdańsku statusu polskiej uczelni (tak jak wynegocjowano istnienie polskiej poczty, kolei, urzędu celnego i składnicy tranzytowej na Westerplatte).

Politechnika pozostała jednak uczelnią gdańską, lecz na podstawie opinii senatu Wolnego Miasta Gdańska, przedstawionej Międzysojuszniczej Komisji 27 lipca 1921 r., podpisano z Polską umowę gwarantującą odpowiednie uprawnienia dla studentów z Polski.

Jednakże w świadomości osób z władz Wolnego Miasta Gdańska nadal istniało przekonanie o zasadniczej roli uczelni, jako miejsca, z którego należy na Wschodzie szerzyć ducha niemieckiego, jak to powiedział cesarz w 1904 r.

A oto niektóre fakty ilustrujące prowadzenie w Wolnym Mieście, od początku jego istnienia, również przez władze uczelni, polityki antypolskiej:

- ulotka *gesellschaft von Freunde der Danziger Hochschule* (Towarzystwo Przyjaciół Politechniki Gdańskiej) stwierdza m.in., że uczelnia powinna być twierdzą niemczyzny na Wschodzie,
- 16 czerwca 1924 r. rektor politechniki Otto Schulze stwierdził w odezwie, że bez znaczenia były ustalone prawa Polski, które nie są w stanie zmienić niemieckiego charakteru uczelni,
- 13 października 1930 r. senator Hermann Strunk stwierdził na wiecu, że pobyt akademików polskich grozi zagładą niemieckiej kultury,
- 20 stycznia 1932 r., w przemówieniu radiowym prezydent senatu Wolnego Miasta Gdańska stwierdził, że Gdańsk jest największym bastionem niemczyzny w walce z Polakami.

A oto niektóre wyniki tak tworzonych nastrojów, dotyczące Politechniki:

- od początku istnienia uczelni ani jeden Polak (również obywatel WM Gdańska) nie otrzymał ulgi w opłatach za studia,
- często nie uznawano polskich świadectw maturalnych kandydatów na studia.

Rząd Polski, powołując się na umowę z 27 lipca 1921 r., protestował także u Wysokiego Komisarza Ligi Narodów. Senat skargi odrzucał.

Pełny opis wydarzeń z tego okresu może być długi. Jednakże ograniczam się do podania tylko niektórych faktów, gdyż podstawowym celem tego artykułu jest przedstawienie, choćby w skrócie, atmosfery, warunków, w jakich działało Zrzeszenie Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej. Czy opisana postawa władz, również uczelni, mogła być bez wpływu na postawę młodzieży studenckiej?



Ona prowadziła do jej skrajnych postaw, co oczywiste. Ich apogeum miało miejsce z chwilą dojścia do władzy hitlerowców. A oto przykłady faktów, ilustrujących także postawy studentów niemieckich w 1939 r.:

- 11 lutego 1939 r. na drzwiach kawiarni "Café Langfuhr" umieszczono napis: "Hunden und Polen ist der Zutritt verboten" (psom i Polakom wstęp jest wzbroniony), a w kawiarni studenci niemieccy próbowali wyrzucić naszych z lokalu.
- 24 lutego 1939 r. bojówki SS nie pozwalały studentom polskim wchodzić na zajęcia na uczelni. Jedną z sal zdemolowano, a studentów, bijąc i kopiając, usunęto. Tych, którzy usiłowali się schronić w sekretariacie rektora lub w gabinetach profesorów, usuwano siłą.
- 25 lutego 1939 r. Niemcy otoczyli polski dom akademicki i wdarli się na jego dziedziniec.

Takie napaści powtarzały się w dniach następnych. Rektor i senat stwierdzili, że była to reakcja na prowokacje studentów.

27 lutego 1939 r. wezwano zarząd "Bratniej Pomocy" przed komisję dyscyplinarną; pięciu członków zarządu usunięto z uczelni. Ten dzień był najgorszy, gdyż grupy studentów niemieckich biły Polaków, nawet do nieprzytomności (są znane świadectwa lekarskie). A policja gdańska... wielu Polaków aresztowała. Niektórzy zostali skazani na areszt lub grzywnę. O tym, co działo się w Gdańsku, pisała nie tylko polska prasa. Np. "Times" z 25 lutego 1939 r. opisywał bardzo krytycznie zachowanie się studentów niemieckich.

W marcu 1939 r. w Warszawie, w Ministerstwie Oświaty i Ministerstwie Spraw Wojskowych, ustalono, że 420 gdańskich studentów nie będzie mogło kontynuować studiów na Politechnice. Wśród nich było 20 absolwentów, tuż przed otrzymaniem dyplomów.

Taką samą opinię podał do wiadomości zarząd Zrzeszenia Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej. Należy tu jednak podkreślić, że w następnych tygodniach niektórzy Niemcy, profesorowie Politechniki Gdańskiej, egzaminowali nadal polskich studentów, już w swych mieszkaniach. Ostatni wpis do indeksu miał miejsce w czerwcu 1939 r.

Sądzę, że w tym miejscu należałoby podjąć próbę oceny kadry dydaktycznej Technische Hochschule. Jest to zadanie bardzo ważne, bardzo trudne, gdyż prawdopodobnie brak zapisów dokumentalnych, poza tymi z podpisem rektora, uniemożliwia taką ocenę. Mogłyby pomóc zeznania świadków, ale ilu

ich jest i co pamiętają? Nie można jednak zrezygnować z próby oceny, gdyż chodzi o ocenę wychowawców, a więc tych, wymagania którym stawiane muszą być szczególnie duże. Najbardziej aktywna, antypolska, jak wynika z dostępnych mi opinii, była kadra niższego szczebla - asystenci, często członkowie SS. Ale tacy byli też ich niektórzy wychowawcy, profesorowie, którzy w Wolnym Mieście Gdańsku, gdzie nie obowiązywało prawo niemieckie, byli członkami NSDAP. Jestem w stanie tu wymienić prof. chemii organicznej Henry'ego Albersa oraz członka NSDAP od 1935 r., prof. mechaniki, rektora Ernsta Pohlhausena. Miałem w ręku dokumenty, opinie podpisane przez Albersa jako "führera" NSDAP, w których oceniał postawy pracowników, od woźnych do profesorów. Rektor E. Pohlhausen również tak oceniał profesorów na żądanie "gauleitera" (przywódcy rejonowego NSDAP). Widział on usuwanych siłą, z jego sekretariatu i gabinetów innych profesorów, w ręce bojówek, chowających się studentów polskich. Mimo to wydał opinię, że prowokatorami byli Polacy. Był on z ramienia NSDAP członkiem senatu WM Gdańska.

Do NSDAP w Wolnym Mieście Gdańsku należeli również profesorowie Eiselin, Flügel i Mangold. Myślę, że takich prohitlerowskich profesorów było więcej, ale warto się zastanowić nad postawą innych, tych nieaktywnych, "neutralnych", którzy widzieli bitych za to, że byli Polakami. Nie można zapomnieć też o tych, którzy mimo ogólnej nagonki egzaminowali Polaków w swoich mieszkaniach aż do czerwca 1939 r. Bardzo chciałbym znać ich nazwiska. Zaslugują na wielki szacunek. Przecież na uczelni obowiązkiem jest ocena nauczycieli akademickich nie tylko za dokonania naukowe. Ta zasada jest zawsze aktualna i powinna być brana pod uwagę jako szczególnie ważna, gdy próbuje się obecnie ustalić tradycyjne powiązania naukowe, czy dydaktyczne, uczelni polskiej z tą przedwojenną.

A teraz czas na przedstawienie, choćby w skrócie, jak w opisanych warunkach działało samorządne Zrzeszenie Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej. Powstało ono 22 listopada 1921 r. Aktywne od początku, niemal własnymi tylko siłami zagospodarowało polski dom akademicki, budynek po dawnych koszarach, znajdujący się obecnie przy ulicy Legionów 11. Ponadto:

- zorganizowano bezpłatną opiekę lekarską dla studentów ("Bratnia Pomoc" zaangażowała lekarzy),
- organizowano lub udzielano pomocy w organizacji Akademickiego Związku Sportowego, Klubu Fotograficznego, Aeroklubu Gdańskiego, Akademickiego Związku Morskiego, a także orkiestry akademickiej,



Polscy studenci podczas meczu piłki nożnej

- zorganizowano kasę pożyczkową dla studentów oraz 50 stypendiów z Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych, a także 20 stypendiów "Bratniaka",
- organizowano imprezy kulturalne; były to m.in. koncert słynnego pianisty Artura Rubinsteina (przyjechał do Gdańska na własny koszt), 2 koncerty Jana Kiepury, koncerty Ewy Bandrowskiej- Turskiej,
- organizowano bale studenckie,
- obsługiwano liczne wycieczki zagraniczne, oprowadzając je po Gdańsku, np. wycieczki studentów z Anglii, Nowej Zelandii, a także wycieczki Polaków z USA,
- utrzymywano żywe kontakty z Macierzą Szkolną w Gdańsku, m.in. zorganizowano kurs języka polskiego dla gdańskich Polaków,

- prowadzono akcje propagandowe wśród maturzystów w Polsce, by ich zachęcić do studiowania w Gdańsku,
- w wielu międzynarodowych imprezach studenckich brali udział przedstawiciele polskich akademików z Gdańska; między innymi był na nich prezes "Bratniej Pomocy" Adam Doboszyński (proszę zapamiętać to nazwisko, będę opisywał jego los w PRL).

Proszę nie zapominać, że "Bratniak" w Gdańsku był formalnie niezależny od jakichkolwiek władz, a wszystko, co opisałem, było z jego inicjatywy, przy ograniczonej pomocy finansowej państwa (w 1935 r. na 145 000 guldenów dochodu, 90 000 było z Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych). Cdn.

Jerzy S. Kowalczyk
Wydział Chemiczny

(Zdjęcia ze zbiorów Pracowni Historii PG)

NIE TYLKO WSPOMNIENIA

Powtarzany egzamin wstępny na studia

Mimo modnego niegdyś powiedzonka "nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera" po skończeniu szkoły średniej postanowiłem się uczyć dalej. Ojciec popierał moje zamiary i poradził mi wybrać Wydział Budowy Okrętów na Politechnice Gdańskiej. Bardzo mi się to spodobało. Sam bym tej uczelni (i tego kierunku) nie wybrał, wskutek jej dużego oddalenia od mojego rodzinnego miasta (prawie 500 km). Bliższe ośrodki akademickie znajdowały się w Łodzi (około 50 km) i w Warszawie (około 150 km). Względy ekonomiczne przemawiały za nimi, choćby na przykład koszty dojazdów. No, ale skoro ojciec tak doradzał, to nie wahałem się ani chwili. Po kilkutygodniowym przygotowywaniu się do konkursowego egzaminu wstępnego, decydującego o przyjęciu na studia, pojechałem do Gdańska. Zatrzymałem się u mojej rodziny zamieszkałej w pobliżu Gdyni. Następnie złożyłem wymagane dokumenty w sekretariacie Wydziału Budowy Okrętów, upewniłem się, z jakich przedmiotów będę musiał zdawać (z matematyki, fizyki i nauki o Polsce współczesnej), i kiedy.

Ponownie przyjechałem na Wybrzeże w odpowiednim terminie i przystąpiłem do egzaminów. Pisemne z matematyki i fizyki poszły mi bardzo dobrze. Został jeszcze do zdania egzamin ustny z "Polski współczesnej". Komisja składała się z trzech osób, w tym jednej kobiety. Na pierwsze pytania odpowiedziałem dobrze. Wreszcie pani profesor zapytała o wielkość przeładunku w portach polskich. Wiedziałem - jak się później okazało, na swoje nieszczęście:

- Zespół portów Gdańsk-Gdynia 10 milionów ton rocznie, a Szczecin milion ton.

- Dlaczego Szczecin tak mało?

Tu przypomniałem sobie, że przed kilkoma dniami przeczytałem w gazecie informację o przekazaniu przez wojska radzieckie portu w Szczecinie władzom polskim. Odpowiedziałem więc:

- Dlatego tak mało, że port w Szczecinie był zniszczony w czasie wojny i nie mógł być odbudowany, bo znajdował się dotychczas w rękach radzieckich.

- To co? Wy myślicie, że do tej pory władze radzieckie siedziały tam z założonymi rękoma?

I to był koniec egzaminu i koniec, przynajmniej na razie, moich zamierzeń i planów.

Jak udało mi się nieoficjalnie dowiedzieć, moją odpowiedź dotyczącą Szczecina egzaminatorka uznała za wrogą wobec

władzy ludowej i kategorycznie sprzeciwiła się przyjęciu mnie na studia, mimo bardzo dobrych wyników z pozostałej części egzaminu. Na moją niekorzyść przemawiało także inteligentne pochodzenie oraz nienależenie do żadnych ówczesnych organizacji społeczno-politycznych. Na pewno także negatywnie oceniono to, że w czasie wojny byłem w Armii Krajowej.

No cóż! Stało się! Powstało pytanie, co dalej robić? Byłem zdecydowany za rok ponownie starać się o przyjęcie na wybrany kierunek studiów. Cała moja rodzina próbowała mi w tym dopomóc. Doradzano mi, szczególnie mój kuzyn Oskar, odbyć rocznej praktyki stoczniowej w charakterze pracownika fizycznego. Obiecywał mi to załatwić i załatwił, za co do dziś jestem mu bardzo wdzięczny.

Rozpatrywaliśmy także sprawę zapisania się do jakiejś organizacji młodzieżowej przychylnie ocenianej przez ówczesne władze. To samo doradzali mi moi znajomi i koledzy.

Istniały wówczas dwie takie organizacje: ZWM (Związek Walki Młodych lub - jak inni rozszyfrowywali ten skrót - Związek Wykolejonej Młodzieży) oraz, jak mi się wydawało, mniej komunistyczna, o tajemniczej dla mnie nazwie OM TUR (Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego). Wybrałem OM TUR.

W październiku 1947 roku rozpocząłem pracę w Stoczni Gdynińskiej jako pracownik fizyczny - praktykant. Była to dla mnie zupełna nowość, bo przecież całe moje dotychczasowe doświadczenie remontowe zdobyłem przy ciągłych naprawach mojego wysłużonego roweru. W Stoczni natomiast rozpocząłem praktykę od udziału w naprawie sprężarki pochodzącej z łodzi podwodnej. Z miejsca zrobiłem genialne odkrycie, że sprężarka przypomina maszynę parową, o której istnieniu uczyłem się w szkole średniej, tylko że odwrotnie działa.

W Stoczni przepracowałem około ośmiu miesięcy, przy remontach silników głównych i mechanizmów pomocniczych kilkunastu starych statków towarowych i okrętów wojennych, przeważnie z napędem parowym. Cały czas prowadziłem dziennik praktykanta z opisem wykonywanych prac i z takimi szkicami, jakie potrafiłem wówczas zrobić.

Pracując w Stoczni, zgodnie z wcześniejszym postanowieniem zapisałem się do OM TUR-u, mimo wewnętrznej niechęci. Usprawiedliwiałem się sam przed sobą, że tak nakazuje rozsądek oraz przeświadczenie, że zdobytą na studiach wiedzę i zawód wykorzystam dla dobra kraju. Cała moja działalność

w tej organizacji sprowadziła się do udziału w sporadycznie odbywających się zebraniach.

Rok szybko minął. Teraz byłem lepiej przygotowany do starań o przyjęcie na pierwszy rok studiów. Oprócz opanowania wiadomości niezbędnych do konkursowych egzaminów wstępnych miałem dodatkowe wsparcie w postaci praktyki robotniczej w stoczni oraz przynależności do organizacji młodzieżowej. Na myśl, że jeżeli nie zostaną przyjęty na studia, to wezmą mnie do wojska i na dłuższy czas będę miał przerwę w nauce, w sierpniu 1948 roku dostałem przyspieszonego bicia serca. Były to pierwsze objawy nerwicy, która później dokuczała mi przez całe życie.

Wbrew obawom wszystko poszło pomyślnie. Egzaminy zdałem i zostałem przyjęty. Na ponad 120 zdających przyjęto bodajże 28, a wśród nich mnie.

Studia wyższe pierwszego stopnia (kurs inżynierski)

Pierwszy rok studiów na Wydziale Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej rozpoczęło wraz ze mną 60 studentów. Oprócz 28 uczestników egzaminu konkursowego przyjęto wiele osób w innym trybie. Tak na przykład z wojska przybyło sześciu, tworząc tak zwaną Kompanię Akademicką. Ponadto dwóch czy trzech mogło powtarzać rok na skutek choroby lub z innych ważnych powodów, a około dwudziestu przyjęto, prawdopodobnie kierując się kryteriami partyjno-politycznymi.

Byli to sami mężczyźni, w wieku dwudziestu - trzydziestu lat i więcej. Wśród nich dwóch seniorów, po czterdziestce. Większość należała do Związku Młodzieży Polskiej, z czym się raczej nie kryli. Pozostali byli bardziej skryci, jak sądzę, z dwóch odmiennych powodów: partyjni - z zażenowania, a bezpartyjni - z bojaźni.

Przez pewien czas razem z nami studiowało pięciu bardzo sympatycznych Jugosłowian, którzy przybyli do nas z Warszawy, gdzie studiowali na Wydziale Lotniczym. Matka jednego z nich była podobno w jugosłowiańskim parlamencie. Tymczasem nastąpiło pogorszenie stosunków politycznych Związku Radzieckiego i innych państw "naszego" bloku z Jugosławią, a w gazetach pokazywano przywódcę tego kraju z toporem w ręce, nazywając go krwawym katem. Wkrótce więc nasi Jugosłowianie wyjechali z Polski.

Studia rozpoczął w październiku 1948 roku wykład inauguracyjny w olbrzymiej sali (Auditorium Maximum). Prowadzący ten wykład powiedział między innymi, że studia są dla państwa bardzo kosztowne (wymienił nawet jakąś sumę), co zobowiązuje nas do solidnej nauki.

W grudniu odbyła się immatrykulacja, obejmująca uroczyste ślubowanie i wręczenie indeksów. Oczywiście przez cały czas odbywały się już normalne zajęcia.

Zachował mi się imienny dokument z immatrykulacji z tekstem: "Po złożeniu ślubowania uroczystego... iż gotów jest posłuszny być przepisom... okazywać władzom akademickim i profesorom poszanowanie, przykładać się pilnie do studiów... postępować moralnie i z godnością - przyjęty został do grona obywateli akademickich... (-) rektor, Gdańsk-Wrzeszcz, dnia 7.12.48".

W tekście nie było wstawek o charakterze polityczno-ideologicznym. Być może pochodził jeszcze z okresu przedwojennego.

Rozpoczęte studia (kurs inżynierski) miały trwać trzy lata plus pół roku praktyki. Po ich ukończeniu otrzymywało się stopień inżyniera budownictwa okrętowego specjalności kadłubowej lub maszynowej, i odpowiedni dyplom. Uprawniał on do wykonywania pracy zawodowej oraz dalszych dwuletnich

studiów drugiego stopnia (kurs magisterski) i uzyskania po nich tytułu magistra inżyniera budownictwa okrętowego.

Całe studia miały więc wynosić łącznie pięć lat (dziesięć semestrów) i pół roku praktyki.

Razem ze mną rozpoczął studia mój młodszy brat, Henryk. Dogonił mnie, gdyż szkołę powszechną rozpoczął, mając sześć lat, a ponadto ja straciłem dalszy rok nie dostawszy się na studia za pierwszym razem. Heniek, żeby zwiększyć swoje szanse, zdawał jednocześnie na dwie uczelnie: w Gdańsku i w Łodzi, składając w jednej z nich oryginały niezbędnych dokumentów, a w drugiej kopie (wówczas jeszcze tak było można). Egzaminy na obie uczelnie odbywały się prawie jednocześnie, tak więc Heniek jednego dnia zdawał w Łodzi, a później w pociąg i do Gdańska, i znów do Łodzi. Na egzaminy biegł prosto z podróży i zdarzyło mu się spóźnić parę minut na pisemny, ale pozwolono mu zdawać. W efekcie zdał na obie uczelnie, na Wydział Mechaniczny, w Gdańsku nie został jednak przyjęty z braku miejsc. Zaczął więc studiować w Łodzi. Po pewnym czasie w Gdańsku zwolniło się miejsce, bo ktoś tam zrezygnował, i udało się załatwić przyjęcie Heńka. Przeniósł się więc do Gdańska i mogliśmy studiować razem na tej samej uczelni, choć na różnych wydziałach. Było to dla nas bardzo korzystne, bo wspólne gospodarowanie (mieszkanie, wyżywienie, zakup niektórych książek) było przecież mniej kosztowne niż prowadzone oddzielnie w dwóch różnych miastach. Pomogłem mu uzupełnić braki i wkrótce sam sobie nieźle dawał radę. Ponieważ w Łodzi przestał uczęszczać na zajęcia, wkrótce został tam skreślony z listy studentów.

Wykłady i ćwiczenia na pierwszym semestrze Wydziału Budowy Okrętów zajmowały wówczas prawie czterdzieści godzin tygodniowo, obejmując następujące przedmioty: matematykę (10 godzin tygodniowo), fizykę (3), mechanikę (5), geometrię wykreślną (5), technologię metali (6), maszynoznawstwo (3), rysunek techniczny (4), zarys budownictwa okrętowego (4) i język angielski (2).

W programie nauczania przeważały więc przedmioty teoretyczne, których podstawy były częściowo nam znane ze szkoły średniej. Później zaczęły dochodzić nowe kierunki, takie jak: stereomechanika, chemia techniczna, wytrzymałość materiałów, hydro- i aeromechanika, teoria maszyn cieplnych i inne, następnie dyscypliny ściśle zawodowe - metaloznawstwo, obróbka metali, części maszyn, podstawy elektrotechniki i napędu elektrycznego, teoria okrętu, architektura okrętu, maszyny okrętowe pomocnicze, spawalnictwo, silniki spalinowe okrętowe, turbiny parowe okrętowe, maszyny parowe, turbiny spalinowe i inne.

W programie studiów znalazły się także przedmioty polityczno-ideologiczne, takie jak ekonomia polityczna i podstawy marksizmu-leninizmu.

Brakowało wówczas odpowiednich podręczników i książek, toteż trzeba było robić z wykładów szczegółowe notatki, które często stanowiły jedyną podstawę przygotowania się do egzaminu. Niektórzy profesorzy żądali, aby na zdawanym egzaminie pokazać notatki z wykładów. Jeden z nich, aby wyeliminować możliwość przedkładania tych samych notatek przez różnych studentów, przebijał je gwoździem.

Nieliczne, wydane jeszcze przed wojną, książki techniczne, z których część była w języku niemieckim, stanowiły jedynie materiał pomocniczy. Zaczęły się pojawiać pierwsze skrypty, powielane na marnym papierze, a przygotowywane przez niektóre katedry. Korzystaliśmy także z książek fachowych w języku rosyjskim. Były stosunkowo łatwo dostępne i tanie. Na przeszkodzie stał jednak brak znajomości języka rosyjskiego.

Opanowałem jakoś alfabet rosyjski i z pomocą słownika udało mi się coś niecoś przetłumaczyć dla swoich potrzeb.

Gmach Główny Politechniki był wprawdzie już odgruzowany, ale jeszcze nie odbudowany, a zwłaszcza część przyległa do wejścia głównego, gdzie obecnie znajdują się hol i schody. Wydział nasz zajmował pomieszczenia głównie na trzecim piętrze.

Na pierwszym roku duża część wykładów była wspólna dla studentów dwóch Wydziałów: Budowy Okrętów i Mechanicznego. Łącznie dla ponad dwustu osób. W niektórych salach nie wszyscy mieścili się w ławkach, więc część stała pod ścianami lub siadaliśmy na parapetach. Cdn.

Tadeusz Witalewski
Absolwent Politechniki Gdańskiej

MOJA DROGA DO ELEKTROTECHNIKI

Zawsze lubiłem majsterkować. Jeszcze będąc w szkole powszechnej, wystrugiwałem z drewna samoloty ze śmigłem obracającym się na wietrze i łódki z żagielkami, które puszczałem na wodę.

Gdy już miałem 14 lat, wpadła mi w ręce książeczka, opisująca budowę działającego modelu maszyny parowej. Składał się on z kotła, w którym podgrzewało się wodę, doprowadzając ją do wrzenia, para wodna rurką doprowadzana była do cylindra poprzez suwakowy mechanizm rozrządu, który kierował dopływ pary raz z jednej, a raz z drugiej strony tłoka. Tłok przez mechanizm korbowy napędzał wał.

Postanowiłem zbudować taką maszynę, ale brakowało mi materiałów. Zacząłem rozpytywać o nie kolegów w szkole. W szczególności chodziło mi o rurkę mosiężną, potrzebną do budowy cylindra parowego.

I wtedy to właśnie jeden z moich kolegów, Zdzich Suski, powiedział mi: "Po co chcesz budować maszynę parową? To rzecz kłopotliwa. Zbuduj lepiej silnik elektryczny".

Jak się okazało, ta chwila stała się przełomową w moim życiu.

Był to rok 1940, drugi rok okupacji niemieckiej. Mieszkałem wtedy w Warszawie na Ochocie, w nieistniejącym już domu przy ulicy Grójeckiej 94, tuż koło skrzyżowania z Opaczewską, a do szkoły chodziłem na Wolę, na ulicę Bema. Długą tę drogę pokonywałem pieszo, przechodząc pod torami kolejowymi tunelem w pobliżu dworca Warszawa Zachodnia. Przed wojną ukończyłem pierwszą klasę Gimnazjum im. A. Mickiewicza, dawnej szkoły Konopczyńskiego, mieszczącej się przy ulicy jego imienia. Była to jedna z najlepszych warszawskich szkół średnich. Nosila ona numer 4. Nr 1 było to Gimnazjum Batorego, Nr 2 - Czackiego, Nr 3 - Lelewela, a Nr 4 - właśnie Mickiewicza. Ten numer widniał na tarczach szkolnych, które przyszywało się do lewego rękawa ubrania.

Dnia 1 września 1939 r. miałem iść do klasy drugiej, ale wybuchła wojna i rok szkolny nie rozpoczął się. Ciężką zimą 1939/40 przeżyłem w małym podwarszawskim miasteczku Wiskitki, gdzie przerabiałem program klasy drugiej, korzystając z podręczników zakupionych jeszcze przed wojną. Gdy po roku wróciłem do Warszawy, okazało się, że moje gimnazjum "zeszło do podziemia", i nie mogłem go odnaleźć. Rozpocząłem wtedy naukę w szkole na Bema. Nosila ona nazwę: "Państwowe kursy przygotowawcze do szkół zawodowych II stopnia, nr 16".

Należy się tu kilka słów wyjaśnień. Niemcy zlikwidowali w Generalnej Guberni szkolnictwo średnie ogólnokształcące i szkolnictwo wyższe. Według ideologii hitlerowskiej Polacy jako podludzie (Untermenschen) mieli służyć narodowi panów (Herrenvolk), za jaki uważali się Niemcy. Zgodnie z tym, Polakom pozostawili jedynie szkolnictwo podstawowe (szkoły powszechne) i zawodowe. Szkoły zawodowe podzielili na szkoły zawodowe I stopnia - na poziomie podstawowym, i II

stopnia - na poziomie licealnym. Dla licznej grupy młodzieży, która skończyła przed wojną szkołę powszechną i rozpoczęła naukę w gimnazjum - do której ja właśnie należałem - zorganizowano dwuletnie "kursy przygotowawcze do szkół zawodowych II stopnia".

Wśród nauczycieli, którzy mnie wtedy uczyli, wyróżniają się szczególnie dwóch: Stanisław Malec, który uczył fizyki, i Seweryn Giebartowski, nauczyciel matematyki. Dzięki nim moje zainteresowania przesunęły się z nauk humanistycznych, które przeważały w gimnazjum Mickiewicza, na nauki ścisłe, a następnie techniczne.

Profesor Malec był autorem podręcznika fizyki, z którego się uczylimy, dzięki czemu wzrósł bardzo u mnie jego autorytet. Prowadził on lekcje fizyki w sposób niezwykle atrakcyjny, co mnie zachęciło do nauki tego przedmiotu.

Niestety, był chory na raka gardła i przez to mówił szeptem. Zmarł, nie doczekawszy końca wojny.

Profesor Giebartowski uczył matematyki w sposób bardzo systematyczny, dzięki czemu gruntownie poznałem podstawy algebry i geometrii. Był chory na gruźlicę i również umarł przed zakończeniem wojny.

GENERALGOUBERNEMENT
DISTRIKT WARSCHAU

Montlicher Vorbereitungslerngang für Fachschulen Nr. 16 in Warschau
Kursy przygotowawcze do szkół zawodowych II st. w Warschau

Nr. 82. Schuljahr 1940/41
Rok szkolny

BESCHEINIGUNG
ZA ŚWIADCZENIE

Przedkowi Franciszek

geboren am 30. IX 1926 in Grednicki Maz
urodzony 4. dnia 30. IX 1926 w Grednicki Maz

Kreis Distrikt Bekanntnis
powiat okręgu wyznaczenia

besuchte vom 1. IX 1941 bis 30. XI 1941, den Vorbereitungslerngang
uczestniczył od 1. IX 1941 do 30. XI 1941, ten Vorbereitungslerngang
na kurs przygotowawczy

für Fachschulen und hat ihn mit gutem Erfolg beendet.
do szkół zawodowych II st. i ukończył - go z wynikiem pomyślnym.

Diese Bescheinigung berechtigt den oben Erwähnten zur Ableistung der
vorgeschriebenen Praxis zur Bewerbung um Aufnahme in eine der Fachschulen.
Zaświadczenie niniejsze uprawnia wyżej wymienionego do ubiegania się
o przyjęcie do jednej ze szkół zawodowych II st. po odbyciu obowiązkowej
praktyki.

Warschau den 30. VII 1941
Warszawa

Lehrergastgeber(in)
Kierownik(ce) kursów

Seweryn Giebartowski
Klassenlehrer(in)
Opiekun(ka) klasy

Staatsdruckerei Warschau - Nr. 6020 II. 86. L.

bródki i czarne krzaczaste brwi. Prowadził z nami wykłady, a właściwie pogadanki, w nowoczesnym, zbudowanym z szarej cegły Gmachu Elektrotechniki, w wielkim audytorium, które nosi dziś imię profesora Drewnowskiego. Musiało nas być sporo, bo audytorium było pełne. Zapamiętałem sobie, że między innymi mówił o licznikach energii elektrycznej i rozliczeniach z elektrownią. Dla przykładu podał, w jaki sposób w starożytnym Rzymie rozliczano się z miejskimi wodociągami za dostarczoną wodę. Otóż w każdym domu rzymskim było atrium, w którym mieścił się basen, z którego czerpano wodę i do którego stale dopływała woda z wodociągów. Właściciel domu wykupywał w zarządzie wodociągów kalibrowaną rurkę i w zależności od średnicy otworu w tej rurce uiszczal miesięczną opłatę za wodę. Im większy był otwór, tym większa była miesięczna opłata.

Większość zajęć praktycznych odbywała się w Gmachu Elektrotechniki. Był tam duży magazyn starych aparatów telefonicznych, jeszcze w drewnianych skrzynkach. Demontowaliśmy te aparaty, gromadząc oddzielnie poszczególne ich elementy i przy okazji dowiadując się, jaka jest różnica między aparatami MB i CB (miejscowej baterii i centralnej baterii).

Mieliśmy również zajęcia praktyczne w starym Gmachu Fizyki, gdzie na parterze mieściło się Laboratorium Maszyn Elektrycznych. Tam po raz pierwszy zapoznałem się z prawdziwymi, dużymi maszynami elektrycznymi. Nie muszę chyba dodawać, że zrobiły one na mnie silne wrażenie.

Na Politechnice spędzałem cały dzień. W porze obiadowej dostawaliśmy obiad, który w tamtych czasach stanowił dużą pomoc materialną. Nie wiem, kto to finansował. Przy okazji poznałem cały teren Politechniki, zaglądałem do różnych gmachów, a w upalne letnie dni spacerowałem po cienistych alejkach,

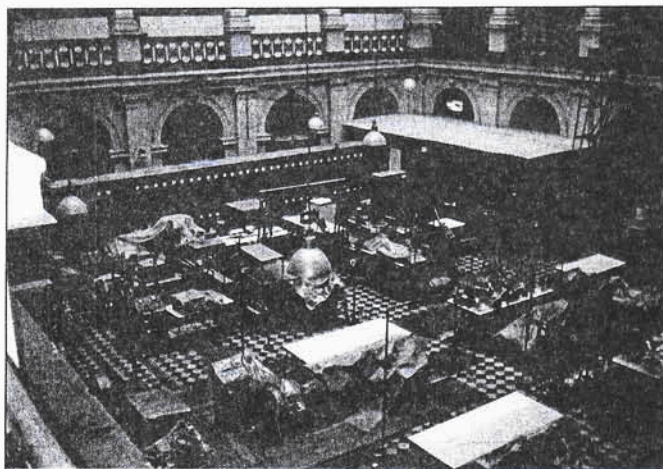
W wiele lat później, już po zakończeniu studiów na Politechnice Gdańskiej, odnowiłem z wielką radością swoje kontakty z Politechniką Warszawską. Będąc w Warszawie, zawsze zaglądałem do pracy do swojego kolegi Andrzeja Lelakowskiego, który skończył studia na Wydziale Elektrycznym PW, pracował jako asystent, adiunkt i docent, zrobił doktorat i habilitację, a teraz byłby profesorem, gdyby nie umarł 17 IX 1979 r.

Potem poznałem profesora Tunię i jego ludzi, którzy obecnie są profesorami PW: Koczare, Dmowskiego, Kaźmierkowskiego i innych. Byłem 7 razy recenzentem prac doktorskich na PW i zawsze chętnie tam zaglądałem.

* * *

Po praktyce wakacyjnej na PW rozpocząłem drugi rok nauki na "kursach przygotowawczych". Byłem już teraz elektrykiem "całą gębą", otrząskanym z widokiem maszyn i urządzeń elektrycznych i osłuchanym z pogadankami dotyczącymi różnych dziedzin elektrotechniki, wygłaszanymi przez poważnych profesorów politechniki. Zabrałem się z zapałem do budowy motorków elektrycznych, tym bardziej, że miałem już źródło prądu stałego niskiego napięcia. Swoją "motorkomanią" zaraziłem grono najbliższych kolegów: Macieja Lewandowskiego, Janusza Sobienieckiego i kilku innych. Utworzyliśmy coś w rodzaju "klubu motorkowego". Na przerwach rozmawialiśmy o motorach, w domu każdy budował motorki według swoich koncepcji, odwiedzaliśmy się nawzajem, podziwiając swoje konstrukcje.

Tymczasem Niemcy toczyli ciężkie boje na froncie wschodnim. Tracili przy tym mnóstwo sprzętu. Z porozbijanych samochodów wymontowywali wszystko, co się nadawało do powtórnego użycia, i wywozili na tyły. W ten sposób do war-



Politechnika Warszawska, Laboratorium Maszyn Elektrycznych w Gmachu Fizyki

szawskiego oddziału firmy Bosch trafiwały ze Wschodu setki motorków od wycieraczek samochodowych, prądnic i rozruszników samochodowych. Polacy, jak wiadomo, są narodem przedsiębiorczym, toteż wkrótce te elementy elektryczne zaczęły przenikać do rąk polskich. W sklepach zaczęły pojawiać się różne urządzenia i zabawki mechaniczne napędzane przez silniczki wymontowane z wycieraczek. Nieraz stałem przed wystawą sklepową, patrząc na pracujący dźwig lub jeżdżącą po szynach kolejkę. Pojawiły się też gramofony z napędem elektrycznym (przed wojną miały one napęd sprężynowy) i zmieniającym płyt. Na ulicach pojawiły się riksze elektryczne z napędem przez odpowiednio przystosowany rozrusznik samochodowy zasilany z akumulatora.

Obserwując te zastosowania napędu elektrycznego, zacząłem zastanawiać się, czy ja również nie mógłbym spróbować wykorzystać do celów zarobkowych mojej nowej pasji, jaką stała się elektrotechnika.

Postanowiłem zbudować kolejkę elektryczną i spróbować ją sprzedać.

Realizacja tego postanowienia zajęła mi kilka miesięcy. Kolejka miała się składać z lokomotywy i dwóch wagoników. Podstawowym materiałem była blacha z puszek od konserw. Wycinałem z tej blachy odpowiednie elementy i lutowałem je, oczyszczając kwasem solnym. Lokomotywa miała kształt parowozu z kotłem i kominem. Wewnątrz był motorek elektryczny, do którego doprowadzało się prąd z szyn za pomocą mosiężnych blaszek. Szyny były z płaskowników żelaznych, podkłady z drewnianych klocków. Pomalowałem kolejkę czarnym lśniącym lakierem i zaniósłem do komisji, gdzie została ustawiona na wystawie. Po pewnym czasie zniknęła z wystawy - została sprzedana! W ten sposób udowodniłem sobie, że z elektrotechniki da się żyć.

Wreszcie, dnia 30 czerwca 1942 roku, drugi rok mojego chodzenia na "kursy przygotowawcze", obejmujące zakres nauki do czwartej klasy gimnazjum, czyli tzw. "małej matury", skończył się. Otrzymałem zaświadczenie, uprawniające do ubiegania się o przyjęcie do jednej ze szkół zawodowych II stopnia, po odbyciu obowiązkowej praktyki. Ta praktyka miała trwać 1 rok i była połączona z równoczesnym uczęszczaniem do obowiązkowej szkoły zawodowej, na przemian tydzień szkoły, tydzień praktyki. Cdn.

*Franciszek Przedziecki
Wydział Elektrotechniki i Automatyki*

Notatki biograficzne nauczyciela akademickiego

Zacząłem myśleć o spisaniu tych wspomnień w ubiegłym roku, kiedy mijała 30 rocznica głównych wydarzeń, których one dotyczą. Musiało to trwać cały rok, żebym doszedł do wniosku, że powinienem spisać te dzieje starszym dla przypomnienia, młodszym ku przestrodze.

W roku 1939 ukończyłem 4-letnie gimnazjum, uzyskując tzw. małą maturę. Dalszą naukę w liceum uniemożliwił mi wybuch wojny. W latach 1939-1945 nie było mowy o dalszej nauce. Po kilku krótkotrwałych pracach, udało mi się zatrudnić jako kreślarz w Państwowym Urzędzie Gospodarki Wodnej. Największą pracą, jaką urząd kierował, była budowa wałów wzdłuż Wisły na odcinku od rzeczki Tażyny (była to w okresie zaborów granica między Prusami i Rosją), aż po historyczne miasto Nieszawę. Wał ten, położony po lewej stronie rzeki, chronił przed zalewaniem wodami Wisły kilka wsi oraz uzdrowisko Ciechocinek. Praca w Urzędzie miała dla mnie tę zaletę, że dzięki niej zapoznałem się, od strony praktycznej, z budownictwem wodnym i geodezją. Dzięki oświadczeniu trzech kolegów, którzy byli zatrudnieni wraz ze mną w Urzędzie, zaliczono mi na studiach trzy i pół roku praktyki w budownictwie. Tu trzeba wyjaśnić, dlaczego nie przedłożyłem zaświadczenia z pracy. Otóż Niemcy, zarówno urodzeni w Polsce, jak i pochodzący z Niemiec, mieli tyle grzechów na sumieniu oraz strachu przed bolszewikami, że uciekali z Polski w wielkim popłochu. Trudno mi było więc prosić ich o zaświadczenia z pracy. Nie trzeba było ich wtedy wysiedlać. Nie rozumiem, skąd zebrało się teraz w Niemczech tylu "wysiedlonych".

Umiejętności zdobyte w Urzędzie pozwoliły mi przetrwać ciężkie czasy studenckie. W roku akad. 1945/46 usługi kreślarskie umożliwiły mi skończenie kursu wstępnego. Na przykład 90% rysunków w skryptach prof. K. Pomianowskiego "Fundamentowanie" i "Hydraulika" wykonałem własnoręcznie. W czasie ferii w latach 1946, 1947 i 1948 pracowałem w Rejonowym Kierownictwie Robót Wodno-Melioracyjnych w Inowrocławiu, wykonując między innymi projekt wstępny, a po jego zatwierdzeniu również projekt techniczny odwodnienia terenów bezodpływowych w pobliżu miasta Gniewkowa.

Czas na wyjaśnienie, w jaki sposób, nie mając matury, zostałem w roku 1945 studentem Politechniki Gdańskiej. Otóż mam w posiadaniu zaświadczenie Komisji Weryfikacyjno-Kwalifikacyjnej przy Kuratorium Okręgu Szkolnego Pomorskiego w Toruniu z dnia 3 września 1945 r., w którym stwierdza się, że na podstawie dokumentów i uproszczonych egzaminów - w myśl § 2 lit. b) Rozporządzenia Ministra Oświaty z dnia 25 maja 1945 r. - uzyskałem prawo wstępu na wstępny rok studiów w szkołach wyższych na wydziale inżynieryjnym.

Na uproszczone egzaminy składały się egzaminy pisemne z jęz. polskiego i matematyki oraz egzaminy ustne z jęz. polskiego, matematyki, fizyki i historii. Wśród podpisów członków Komisji, złożonej z byłych profesorów Uniwersytetu im. S. Batorego w Wilnie, figuruje nazwisko prof. Konrada Górskiego. Wyjaśnię, dlaczego wymieniam właśnie nazwisko prof. Górskiego. Otóż na 50 zdających nikt nie opuścił sali egzaminacyjnej zadowolony z wyników. Każdy był przekonany, że "oblał" z języka polskiego. Egzamin u prof. K. Górskiego wyglądał jednak dziwnie, bo profesor mówił, deklamował, zdający słuchali oczarowani. Chyba nie tak powinien wyglądać egzamin? Wystraszony wypowiedziami kolegów zwlekałem z wejściem do sali egzaminacyjnej, aż doczekałem się oświadczenia Komisji, że kończy ona egzamin ustny w dniu dzisiejszym (była to sobota), a wznowi przepytanie nas w poniedziałek. Natychmiast rozpocząłem poszukiwania książek, dzięki którym mógłbym zwiększyć swoją wiedzę z literatury polskiej. Nie było łatwo je zdobyć. Niemcy przez sześć wojennych lat niszczyli wszelkie ślady polskości na terenach włączonych do Rzeszy. Książki polskie, które wpadły w niemieckie ręce, płonęły na stosach. Ludność polska była wysiedlana na teren tzw. Gubernatorstwa Generalnego. Wysiedleni mogli zabrać tylko rzeczy najniezbędniejsze. Moja rodzina była trzykrotnie przesiedlona. Ludzie ratowali głowy, a nie myśleli o książkach. Po takiej gehennie udało mi się w graniczący z cudem sposób zdobyć "Literaturę polską" w dwóch tomach, właśnie prof. Górskiego. Przesiedlałem nad nią cały czas dzieląc mnie od egzaminu, włącznie z nocą z niedzieli na



Grupa słuchaczy kursu wstępnego Politechniki Gdańskiej w roku akad. 1945/46 na dziedzińcu Technikum Budowy Okrętów "Conradinum"

poniedziałek. Egzamin przebiegł pomyślnie. Na początku profesor otworzył mi książkę i nakazał, po przeczytaniu i przeanalizowaniu treści tekstu, zadeklamować wybrany utwór. Był to sonet o morzu M. Konopnickiej. Dalsze pytania dotyczyły znajomości okresu romantyzmu i twórczości A. Mickiewicza. I tu zdarzyła mi się jedyna "wpadka". Na pytanie, który z duchów ukazujących się w "Dziadach" odgrywa najważniejszą rolę, zamiast odpowiedzieć "panna", po zastanowieniu się i uwzględnieniu faktu, jaką mamy Polskę, powiedziałem "zły pan". No bo przecież kogo uważano za wroga w socjalizmie. Oczywiście wyzyskiwacza, krwio pijęcę, czyli złego pana. Odpowiedzią tą trafiłem jak przysłowiową kulą w płot. Profesor nie był tak "nowoczesny". Dowodem na to było jego późniejsze usunięcie z grona profesorów Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu za przekonania polityczne.

Nie było mowy, aby zajęcia na wstępnym roku studiów lub, jak się mówiło, na roku "zerowym" mogły odbywać się na terenie Politechniki, gdyż budynki uczelni były częściowo zniszczone. Gmach główny, który był zamieniony na szpital polowy w końcowym okresie wojny, został w dużym stopniu spalony. Znalaziono więc dla nas pomieszczenia zastępcze w budynku obecnego Technikum Budowy Okrętów "Conradinum", którego dyrektorem był prof. Politechniki p. A. Potyrała. Budynek wyglądał nieźle, wymagał tylko oszklwienia okien. Udało się to nam wykonać we własnym zakresie. Staraliśmy się także ogrzać sale. O luksusie centralnego ogrzewania nie było mowy. Zorganizowaliśmy piecyk metalowy oraz rury do odprowadzania gazów i rozpoczęliśmy ogrzewanie. Słuchacze kursu, idąc do szkoły, zbierali po drodze opał w postaci starych mebli i innych materiałów drewnianych, dzięki czemu mogliśmy ogrzewać pomieszczenie. Niestety, radość nasza trwała krótko, gdyż nie można było uzyskać odpowiedniego ciągu gazów i piecyk dymił niemłosiernie. Zdecydowaliśmy więc, że zamiast siedzieć w zadymionej sali, będziemy uczyć się w zimnej sali, wdychając świeże powietrze. Profesorowie prowadzili wykłady w płaszczach, wchodząc do sali zdejmowali jedynie nakrycie głowy. Podczas wykładu chodzili dość szybkim krokiem po sali, aby się rozgrzać. Słuchacze natomiast siedzieli w ławeczkach dla dzieci ubrani w "to co się dało", by utrzymać należytą ciepłotę ciała.

Forma stypendiów nie istniała. Prawie każdy musiał się sam utrzymywać. Chwytałyśmy się każdej pracy. Wysoko ceniona przez studentów była praca stróża nocnego. W dzień miało się czas wolny i brało się udział w zajęciach, a w nocy był dach nad głową, ciepłe pomieszczenie i dobre warunki do nauki i wypoczynku. Innym dobrym zajęciem była praca korektora w redakcji pism Wybrzeża, bo pracowało się tylko nocą.

Domów studenckich również nie było, nie licząc kilkupokojowej willi na ul. Krętej (tylko dla socjalistycznej młodzieży zrzeszonej w OM TUR) oraz domu przy ul. Lendziona 7 (tylko dla wiciowców, czyli zrzeszonej młodzieży wiejskiej). Ja urządziłem się nieźle. Mieszkałem wraz z bratem i kilkoma kolegami w suterenie domu przy ul. Ks. Wawrzyniaka 5 (obecnie: ul. Łukasiewicza) na terenie koszar Armii Radzieckiej, która zajmowała teren między ulicami Parkową (obecnie: Bohaterów Getta), Politechniczną, Ks. Wawrzyniaka i Bracką. Teren był co prawda ogrodzony płotem z drutu kolczastego, ale oprócz strzeżonego wejścia miał kilka dziur w płocie. Po pewnym czasie Armia Radziecka opuściła prowizoryczne koszary i dom, w którym mieszkaliśmy. Dom ten otrzymała Politechnika Gdańska na mieszkania dla pracowników. W związku z tym postanowiono nas eksmitować z zajmowanego domu. Obronił się dzięki temu, że mieszkał z nami syn ówczesnego ministra Spraw Zagranicznych, Adam Rzymowski. Jesienią

1946 r. administracja PG zaproponowała nam zamianę naszego mieszkania na położony przy ul. Politechnicznej 12 lokal zajmowany przez profesora PG, St. Puzyńkę. Mówiono nam wtedy, że do tych pomieszczeń Politechnika nie będzie miała pretensji, ale latem 1947 r. mieszkaliśmy już w przydzielonym Politechnice na dom akademicki "zaczysku" na Biskupiej Górze.

Dokuczał nam bardzo brak stołówki, w której za dostępną dla studentów cenę można by zjeść skromny obiad. Budynek przy ul. Siedlickiej 4 był początkowo zajęty przez jednostkę Wojska Polskiego. Bratnia Pomoc Studentów Politechniki Gdańskiej starała się pomóc uczelni w rozwiązywaniu jej kłopotów. Podjęto na przykład uchwałę o obowiązku nieodpłatnego odpracowywania przez każdego studenta na rzecz uczelni w roku akad. 1945/46 osiemdziesięciu godzin. Kiedy w grudniu 1945 r. postanowiono zawiesić zajęcia na uczelni w miesiącach zimowych, poszliśmy pod Urząd Wojewódzki prosić o pomoc w zdobyciu przez uczelnię opału. Opału nie zdobyliśmy, a do tego zostaliśmy uznani za "środowisko reakcyjne".

Aby lepiej zobrazować warunki studiów w tym okresie, należy wspomnieć o "umilaniu" nam życia przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Wspomnę o jednej "przygodzie", jaka mnie spotkała jesienią 1946r. Będąc studentem I roku Wydziału Inżynierii Lądowej i Wodnej, zostałem poproszony przez kolegów o pomoc w przygotowaniu się do kolokwium z geodezji.

Postanowiliśmy spotkać się u kol. M. Wizmura, który mieszkał w Sopocie przy ul. Gen. W. Sikorskiego w komfortowym, bo ogrzewanym pokoju. Dla lepszego przygotowania kolegów z budowy i rektyfikacji instrumentów geodezyjnych postanowiłem pożyczyć od znajomego fachową książkę. Udałem się w tym celu na ul. Grażyny 11 i wpadłem w zasadzkę tzw. "kocioł" przegotowany przez "Bezpiekę". W nocy przewieziono mnie do Woj. Urzędu BP, który mieścił się w obecnym gmachu sądu na ul. Nowe Ogrody. Po pewnym czasie urządzono u mnie na ul. Politechnicznej 12 podobny "kociołek" i wyłapano wszystkich moich kolegów, którzy przychodzili do mnie po deski kreślarskie potrzebne na ćwiczenia z geometrii wykreślnej. Przechowywałem je u siebie ze względu na bliskie od uczelni położenie mego mieszkania. Koledzy moi co najmniej tydzień byli przesłuchiwani, ja zaś w semestrze zimowym roku akad. 1946/47 byłem w sumie 4 tygodnie pozbawiony wolności.

Mimo tych trudnych warunków byliśmy szczęśliwi, bo mogliśmy wreszcie po strasznych latach wojny zdobywać wiedzę w polskim znów Gdańsku.

Życie w uczelni tak oto opisuje prof. Witold Nowacki, ukończony przez nas nauczyciel akademicki, który w swych "Notatkach autobiograficznych", wydanych w 1985 r. przez PWN, pisze: *"Byłem świadkiem i uczestnikiem budowy od podstaw Politechniki Gdańskiej, polskiej Uczelni technicznej, która swymi rozmiarami, poziomem naukowym, wynikami w kształceniu i pracy badawczej rychło prześcignęła dawną Technische Hochschule Danzig. Złożyła się na ten sukces patriotyczna postawa kadry naukowo-dydaktycznej, żywiołowy pęd młodzieży do nauki, wyjątkowo duży w powojennych rocznikach studentów odsetek ludzi utalentowanych, chcących i umiejących pracować wytrwale, systematycznie i wydajnie..."*. Pochwała ta jest prawdziwą nagrodą za trud i poświęcenie jakie włożyliśmy w ukończenie studiów. Cdn.

Henryk Wesołowski
Klub Seniora

Leon Żółtek-Mitkiewicz

(1896-1972)

12 grudnia mija już 27 lat od śmierci mojego Wujka Leona - żołnierza, dyplomaty, pisarza. Pamiętam Go sprzed wojny, gdy jako student Politechniki Warszawskiej często bywałem w mieszkaniu Wujostwa przy Alejach Ujazdowskich. Postać Wujka pozostaje dla mnie uosobieniem przedwojennego polskiego oficera, zawsze eleganckiego, uprzejmego, obytego towarzysko. Ten swobodnie poruszający się w salonach, postawny pan mógł się także szczycić chwalebą przeszłością bojową.

Leon Żółtek-Mitkiewicz urodził się 20 lutego 1896 r. w Zambrowie. Pochodził z patriotycznej rodziny ziemiańskiej, która po powstaniu styczniowym utraciła posiadany majątek. Kształcił się w gimnazjum realnym w Białymstoku. Po uzyskaniu matury w 1915 r. został zmobilizowany do armii rosyjskiej i skierowany do szkoły kawalerskiej. W 1917 r. młody Mitkiewicz przyłączył się do I Korpusu Polskiego gen. Dowbora-Muśnickiego. W wojnie bolszewickiej walczył w szeregach 2. Dywizji Piechoty Legionów, w której zyskał stopień rotmistrza. Po zakończeniu wojny został skierowany do Wyższej Szkoły Wojennej. Ukończył ją z odznaczeniem i w 1925 r. został wykładowcą taktyki w Centrum Szkolenia Kawalerii w Grudziądzu, a następnie, po przejściu staży liniowych w 2. i 7. Pułku Ułanów, wykładowcą taktyki w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. W latach 1932-1935 dowodził 2. Pułkiem Szwoleżerów Rokitniańskich w Starogardzie Gdańskim, później przeszedł do Sztabu Inspektora Armii gen. Leona Berbeckiego.

Do służby dyplomatycznej Mitkiewicz został powołany w 1939 r., kiedy po nawiązaniu stosunków z Litwą objął stanowisko pierwszego polskiego attaché wojskowego w Kownie. Mimo krótkiego czasu pobytu na Litwie udało mu się doprowadzić do znacznego złagodzenia polsko-litewskiego napięcia, m.in. przez doprowadzenie do wizyty w Polsce głównodowodzącego armią litewską gen. Rastikisa. Przed zamknięciem polskiej ambasady w Kownie, co nastąpiło w październiku 1939 r., udało się jeszcze Wujowi umożliwić wyjazd do Anglii i Francji ok. 400 polskim żołnierzom internowanym przez Litwinów.

Po ewakuacji personelu ambasady do Sztokholmu, Naczelnny Wódz gen. Władysław Sikorski wezwał Wujka do Paryża i uczynił Go bliskim swoim współpracownikiem, mianując kolejno: szefem Misji Wojskowej w Londynie, szefem II Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza, zastępcą szefa sztabu w Naczelnym Dowództwie. Od czerwca 1942 r. do lutego 1943 r. Leon Żółtek-Mitkiewicz uczestniczył w formowaniu w Szkocji i był zastępcą dowódcy I Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Odwołał Go z tego stanowiska gen. Sikorski, czyniąc przedstawicielem Naczelnego Wodza przy Najwyższym Dowództwie Aliantów w Waszyngtonie i równocześnie zastępcą szefa sztabu Naczelnego Wodza w Stanach Zjednoczonych. Na tym stanowisku Wuj pozostawał do 1945 r., dopóki alianci uznawali rząd Rzeczypospolitej Polskiej.

Po zakończeniu wojny Wuj, z żoną Stefanią, zdecydowali się nie wracać do oddanej sowietom Polski. Utrzymywali się z prowadzenia wiejskiego pensjonatu w położonej w górzystej części stanu New York wiosce Andes. Tam Wuj Leon zajął się również działalnością pisarską, dokumentując historyczne wydarzenia, których był uczestnikiem i świadkiem. Za jego życia ukazały się książki: "Kawaleria samodzielna Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 roku", Toronto 1964; "Wspomnienia kownińskie", Londyn 1968; "Z Generałem Sikorskim na obczyźnie", seria "Dokumenty" Instytutu Literackiego, Paryż 1968; "W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów 1943-1945", Londyn 1971.

Ponadto w maszynopisach, którymi dysponuję, pozostały obszernie wspomnienia Wujka: "Z brzękiem ostróg i dźwiękiem szabli" oraz "W Wojsku Polskim w czasie pokoju 1921-1930".

Z tego bogatego, cennego historycznie dorobku pisarskiego, wydania w kraju doczekały się tylko "Wspomnienia kownińskie", Warszawa, Bellona 1990.

Sprowadzone od Polski prochy Leona Żółtek-Mitkiewicza, zasłużonego Ojczyźnie, wybitnego oficera Drugiej Rzeczypospolitej, spoczęły na cmentarzu parafialnym w Białymstoku. Przekazane mi dokumenty i pamiątki po Wujku znajdują się obecnie w Muzeum Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim, gdzie stacjonował 2. Pułk Szwoleżerów.

Tomasz Pankiewicz
Klub Seniora



*Plk. dypl. kaw. Leon Żółtek-Mitkiewicz,
pierwszy polski wojskowy attaché
na Litwie, 1938-39*



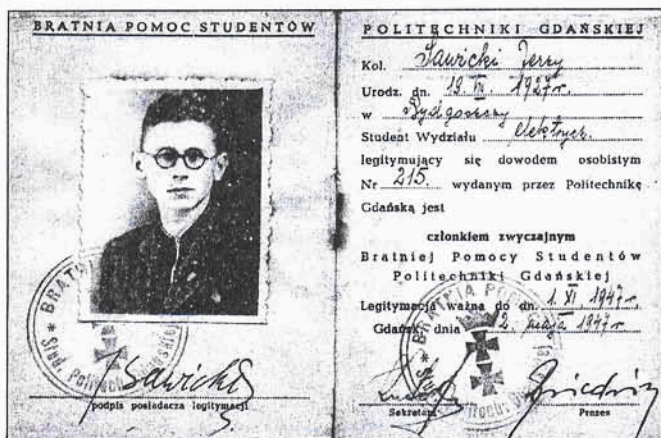
*Plk. dypl. Leon Żółtek-Mitkiewicz,
I. Dywizja Pancerna, Szkocja, 1942-43*



*General Władysław Sikorski w rozmowie
z plk. dypl. kaw. Leonem Żółtek-
Mitkiewiczem w swoim gabinecie*

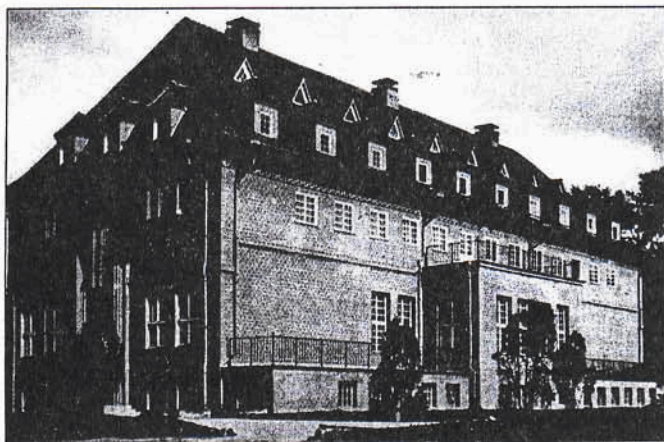
MIGAWKI Z DAWNIEJSZYCH LAT (cd.)

BRATNIACKA STOŁÓWKA ANNO 1945



Jesienią 1945 Bratnia Pomoc Studentów Politechniki Gdańskiej gnieździła się w dwu niewielkich pokojach, położonych w przyziemiu Gmachu Głównego, w skrzydle równoległym do Wydziału Elektrycznego. Pomieszczenia te mają obecnie numer 65 oraz 66. W prowizorycznie ukształtowanym zarządzie prym wodziła koleżanka Sabina Kalinowska, stale ubrana w białą rogatywkę. Oprócz niej działała jeszcze jedna koleżanka oraz bodaj trzech kolegów. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to jednym z nich był późniejszy prezes BP-SPG kol. Jan Kuta oraz Janek Dziedział z naszego Wydziału. Dziedział zajmował się organizowaniem i ewidencjonowaniem prac porządkowych, wykonywanych nieodpłatnie na rzecz odbudowy Uczelni. Od członków BP-SPG wymagano w początkowym okresie wykonania ogółem 80 godzin takich prac. Przypominam sobie, że uczestniczyłem w przenoszeniu ocalałej z pożaru części zbiorów Biblioteki Głównej; wydawnictwa te składaliśmy w małym budynku, między Laboratorium Wytrzymałości Materiałów a budynkiem Żelbetnictwa. Wywiązywanie się z tych zadań było konieczne, jeżeli chciało się wykupić bloczki obiadowe do bratniackiej stołówki. "Załapanie się" do kolejki po te bloczki było trudne, gdyż chętnych nie brakowało, a stołówka była mała.

Budynek "Bratniaka" przy Siedlickiej nr 4 był wtedy zajmowany przez nasze wojsko, a stołówka mieściła się w niewielkim budynku po jakiejś niemieckiej korporacji, stojącym przy ulicy Krętej 47. Po drodze do stołówki przechodziło się koło rozległego obiektu, gdzie dziś mieści się jeden z wydziałów Uniwer-

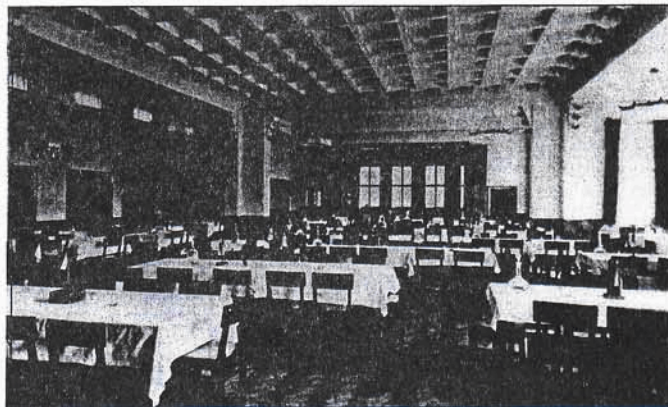


"Bratniak", 1930 r.

sytetu Gdańskiego. Jesienią 1945 były tu koszary naszego wojska.

Sala stołówki, położona na piętrze, była sporym pokojem, liczącym chyba ze trzydzieści metrów kwadratowych. Dania odbierało się w okienku blisko schodów i przenosiło do wolnego miejsca przy stole, ale z tym był duży kłopot. Na każdym krześle ktoś siedział, a następny już czekał za oparciem. Niekiedy trafiało się tak, że trzeba było zadowolnić się miejscem drugiego oczekującego na swą kolej.

Jedzenie było dość nędzne i, co gorsza, nieraz wydawanie obiadu rozpoczynało się ze znacznym opóźnieniem. W takim przypadku "biesiadnicy" wszczynali raban, wywołując szefa stołówki o nazwisku Faszfałow. Stołówka otrzymywała od władz przydziały żywności, ale po pewnym czasie zaczęto szeptać, iż Faszfałow urządza jakieś machlojki. Ferment stopniowo narastał, aż pewnego grudniowego dnia doszło do eksplozji. Opóźnienie wydawania było skandalicznie duże, a jakość posiłku fatalna. Przy stole koło mnie siedział Miecio Okrętowiec (o dużych lukach w uzębieniu), który zaproponował urządzenie "kocięgo koncertu", co powitano z uznaniem. Wtedy Miecio przeraźliwym dyszkantem głośno zapał: "FASZFAŁOWA!" a zgodny chór dodał: "DAWAĆ GO TU! DA-



Sala stołówki, 1930 r.

WAĆ GO TU!". Po paru takich zwrotkach wezwany delikwent ukazał się w wejściu i polecił dołożyć coś do wydawanych racji obiadowych. Pod koniec roku 1945 podobno zwiął za granicę, bo później już go w stołówce nie było.

W pierwszych dniach grudnia wojsko opróżniło budynek "Bratniaka", który początkowo był otwarty i ogólnie dostępny. Wszedłem i dotarłem do głównej sali jadalnej, gdzie na parkiecie znajdowały się zamrożone czarne kałuże. Pod koniec stycznia 1946 stołówka bratniacka przeniosła się na Siedlicką. Personel obsługujący tworzyły młode dziewczyny, o których mówiono, że są Niemkami.

WŁAŚCIWY CZŁOWIEK...

Znane powiedzenie "właściwy człowiek na właściwym miejscu" odnosiło się nie tylko do personelu nauczającego, ale także do studentów. Na szczególne wyróżnienie zasługuje przypadek, który mocno wrył mi się w pamięć. Późną wiosną 1946 musieliśmy zaliczyć ćwiczenia z matematyki, które dla naszego wydziału prowadził asystent Leon Łukasiewicz, będący wtedy studentem II roku. W późniejszym okresie "wyrósł" z niego w Warszawie znany profesor. Podczas zajęć, odbywających się w czwartki, "Leonek" zastanawiał się głośno: "Może kolokwium zorganizujemy za dwa tygodnie? Ale nie, bo wtedy

będzie wolne z powodu święta jakiegoś-tam-ciała". Taka manifestacja antyreligijna wywołała natychmiastową ripostę naszej koleżanki Marysi Sankiewicz: "Panie asystencie! Prosimy nie obrażać naszych przekonań religijnych!" W odpowiedzi usłyszeliśmy natychmiast "Bardzo państwa przepraszam za tę niewłaściwą wypowiedź".

Pierwszym dniem wykładowym był 22 października 1945 r., dzień rozpoczęcia powojennej działalności dydaktycznej na Politechnice Gdańskiej. Początek naszych zajęć stanowił wykład z fizyki, wyznaczony chyba na godzinę 10. w sali Auditorium Maximum. Był on przewidziany dla słuchaczy pierwszego roku z Wydziałów Elektrycznego, Mechanicznego oraz Budowy Okrętów. Na pierwszy rok każdego z tych Wydziałów przyjęto bodaj 150 studentów (moja matrykuła ma numer 215, który wynikał z alfabetycznej kolejności nazwisk osób przyjętych na wszystkie semestry naszego Wydziału!). W sali tłok był ogromny: na dwóch klapkach siedziały ukosem trzy osoby i wielu słuchaczy usadowiło się na schodach lub we wnękach okiennych.

Z ogłoszeń pod dziekanatami wiedzieliśmy, że wykładać będzie prof. Wolfke, szeroko znany naukowiec, przed wojną działający w Warszawie. Do sali wkroczył punktualnie, pojawiając się z bocznego wejścia po prawej stronie przy ścianie tablicowej. W chwili otwarcia skrzydła drzwi wszyscy obecni "jak jeden mąż" ostentacyjnie powstali. Był to spontaniczny wyraz uznania dla tego wybitnego naukowca, ale wywołał hałas, spowodowany powrotnym ruchem kłapek siedzeniowych. Profesor źle przyjął okazane uszanowanie i głośno powiedział: "To nie szkoła średnia, by wstawać na powitanie wchodzącego nauczyciela!". Po kilku tygodniach Wolfke przeniósł się do Warszawy, ale wypada stwierdzić, iż na żadnym z jego wykładów nie wydarzyło się już takie powitanie. Uszanowaliśmy jego słownie okazaną skromność

Ćwiczenia rachunkowe z fizyki prowadził w Auditorium Maximum adiunkt mgr Juszkiewicz, obdarzony dużą swobodą



Doc. dr inż. M. Sankiewicz, prorektor ds. kształcenia w latach 1981-84

w relacjach ze studentami. Po napisaniu zadania na tablicy rzucał wezwanie: "Kto na ochotnika?" i zwykle ktoś się tego podejmował. Któregoś dnia, gdy temat był zbyt trudny, nikt się nie zameldował, a tylko z sali padł okrzyk "Ochotnicy wyginęli podczas wojny!". Wówczas adiunkt stwierdził: "No to ja mianuję ochotnika. To będzie pan!" i wskazał studenta siedzącego w centrum galerii, tuż koło barierki. "Czy to mam być ja?" - "Tak, to pan!". Tak wywołany rzekomy ochotnik wstał i ruszył do wyjścia z galerii. Szedł i szedł, a idzie do dziś dnia i dojść nie może. Po chwili Juszkiewicz zorientował się w tej dezercji i mianował następnego "ochotnika", ale już z parteru.

*Jerzy Sawicki
Wydział Elektrotechniki i Automatyki*

Magister (cd.)

TEATRZYK KATEDRY OBRABIAREK

Po wypiciu dwóch piw Panie, myśli płyną swobodniej, pamięć przywodzi zdarzenia zabawne. Z garnituru powagi uczelnianej wyłazi podszewka groteski.

Z wyjątkową celebracją odbywały się zajęcia w katedrze obrabiarek. Przelewaniu informacji z głowy profesora do głów studentów towarzyszył teatralny ceremoniał.

- Panowie, rozpoczynamy przedstawienie! - obwieszczał głośno Anatol. Po tej zapowiedzi grupka studentów oczekujących na wykład przeciskała się do salki wykładowej.

Za ostatnim studentem wchodził do sali młodszy asystent. W lewej ręce niósł drewniane pudełeczko zamknięte rzeźbioną pokrywką, w prawej dwie kolorowe gąbki do wycierania tablicy. Gąbka czerwona zwilżona wodą służyła do zmywania kredy z tablicy. Natomiast gąbka żółta do suszenia, używana tylko po wytarciu gąbką zwilżoną. Obie gąbki układał asystent na specjalnej półce przymocowanej do wielkiej tablicy ściennej. Następnie wyjmował z drewnianego pudełka pięć różnobarwnych kredek z nawiniętymi na końcach kolorowymi papierkami. Sprawdzał dokładnie, czy nawinięte papierki dostatecznie pewnie przywierają do kredy. Zdarzało się bowiem, że kreda wysuwała się z opakowania i zniekształcała rysunek kreślony ręką profesora. Znacznie gorzej, gdy kreda wysuwała się z palców

profesora i spadała na podłogę. Wówczas następowała chwila dramatycznego napięcia. Profesor z pustym papierkiem ściśniętym w palcach spoglądał z nieukrywaną niechęcią na młodszego asystenta, jakby mówił: Mam poważne wątpliwości, czy pan się w ogóle nadaje się na pracownika naukowego. Po tym milczącym skarceniu młodszy asystent szybkim krokiem zbliżał się do miejsca, w którym leżał upuszczony kawałek kredy. Podnosił go, w sposób naukowy, ponownie zawijał i - przepraszając profesora za spowodowanie przerwy w wykładzie - na palcach wracał za swój pulpit. Profesor robił kilka kroków wzdłuż tablicy po czym, gdy się już uspokoił, odwracał głowę w kierunku obecnego na wykładzie adiunkta. Panie profesorze - wyjaśniał donośnie adiunkt - kreda wysunęła się z opakowania w chwili, gdy pan profesor objaśniał budowę suportu. W momencie wypowiedzania słów: "Należy zwrócić uwagę na wymieniony szczegół, ponieważ określa on..." - Ach tak! - przerywał profesor: - Należy zwrócić uwagę na wymieniony szczegół, ponieważ określa on... W tym momencie profesor ponownie utykał: - Ale o jakim szczególe mówiłem?

Więc młodszy asystent zazwyczaj bardzo dokładnie sprawdzał sposób nawinięcia papierka na końcu kredy. Należy przypuszczać, że dopracował się własnego, niezawodnego sposobu nawijania. Asystent układał kredę na osobnej półce tuż przy

tablicy. Układał według barw, zgodnie z ustalonym kluczem. Sprawdzał czystość powierzchni "katedry", oświetlenie salki, pozycje studentów. Po tych czynnościach siadał przy niewielkim pulpicie, otwierał gruby brulion i zamierał w pozie oczekiwania.

Po trzech minutach do salki wchodził starszy asystent. Przyносił dziennik i długi, chromowany teleskopowy wskaźnik. Kładł go w taki sposób, aby profesor - sięgając - trafiał ręką na właściwy koniec. Następnie siadał w pierwszym rzędzie bokiem do studentów i sprawdzał obecność. Odczytywał kolejne nazwiska głosem wywołującego na uroczystym apelu imiona poległych. Po sprawdzeniu obecności i wpisaniu do dziennika odpowiednich uwag starszy asystent wyjmował notes, zarzucał lewą nogę na prawą, i tak siedząc - w pozycji bardziej rozluźnionej od młodszego asystenta - obserwował bacznie drzwi wejściowe.

W momencie pojawienia się starszego asystenta gwar w salce wyraźnie przycichał. Wszyscy wiedzieli, że starszy asystent uczestniczy w kolokwium.

Wreszcie drzwi wejściowe otwierały się na oścież. Wchodził adiunkt. Niósł grubą księgę. Adiunkt stał bokiem przy otwartych drzwiach. Zapadała zupełna cisza. Profesor wchodząc pozdrawiał stojących studentów. Po chwili, potrzebnej na uspokojenie salki, profesor rozpoczął wykład. Otwierał księgę przyniesioną przez adiunkta i głośno podawał temat wykładu. Na przykład: Frezarki! Następnie kreślił na tablicy schemat frezarki. Objaśniał szczegóły, szczegółiki... dyktował fragmenty wykładu. Mówił szybko, chaotycznie, mieszał różne elementy obrabiarek na tym samym wykładzie.

Nie potrafiłem się skupić. Dyskretnie wyjmowałem brulion z notatkami z przeczytanych książek. Otwierałem na dowolnej stronie i znajdowałem na przykład fragment z "Eugeniei Grandet": "Prezydent, który podobny był do wielkiego zardzewiałego gwoźdźca". Taki impuls wystarczał mojej wyobraźni. Natychmiast profesor "od obrabiarek" przypominał mały, stalowy gwoździec z odpowiednio ukształtowanym łebkiem. Takie gwoździece wbija się zwykle w szlachetne drewno, w te fragmenty mebli, które są wystawiane na zewnątrz, aby pieściły oko estety. Takie gwoździece wbija się również w drzewce sztandarów. Rysowane ręką profesora obrabiarki nabierały znacznej wartości, gdy wzrok studentów cofał się z kolorowych linii rysunku po teleskopowym wskaźniku na palce mieniące się błyskami sygnetu.

Adiunkt przypominał solidnego papiaka: duży płaski łeb, mocny niemal cylindryczny tułów, w sam raz do przytwierdzenia papy na dachu katedry. Starszy asystent w tej kolekcji to mały gwoździec nieprawidłowo wbity w zelówkę studenckiego buta. Młodszy asystent stanowił jeszcze coś pośredniego między klejem a gwoździem, larwą gwoźdźca, pinezkę do przytwierdzenia ogłoszeń w gablotce przed drzwiami sekretariatu.

Niewiele dały mi te wykłady. Wystarczyło przeczytać odpowiedni podręcznik.

WŁAŚCIWOŚCI BOGA

Każdy, Panie, "takie widzi świata koło, jakie tępyimi zakreśla oczy". Z tego obszaru wiedzy i doświadczeń kreśli również obraz swojego Boga. To mentalność Twoich wyznawców, Panie, uprawia Cię w ramki wydumanych właściwości. Wtajemniczeni wiedzą najwięcej o Twojej boskiej naturze. Ich pomysły obrastają teatralnymi ceremoniami ku Twojej czi

i chwale. W ten sposób dowartościowują się, a człowiek wypełnia - chociaż w części - przerażającą pustkę egzystencji.

Nie przypisuję Ci, Panie, żadnych właściwości. Jeżeli jesteś Tajemnicą, nie usiłuję nawet dotknąć rąbka Twojej Tajemnicy. Pozostaniesz, Panie, w mojej wyobraźni tylko Wielką Tajemnicą.

Inny krąg zatacza wyobraźnia mojej matki. Urodziłem się z woli Boga Najwyższego. Z jego woli urodziła mnie chłopcem. Potem - zgodnie z panującym obyczajem - zanieśono mnie do kościoła. Ksiądz pomodlił się nade mną. Wiem - z opowiadania matki - że właśnie zasnąłem i uśmiechałem się niewinnie przez sen. Cisza trwała do momentu, w którym ksiądz wylał na moją głowę odrobinę święconej wody. Wówczas obudziłem się gwałtownie i zacząłem przeraźliwie wrzeszczeć. Zrobiłem też siusiu w pieluszkę. Sądzę, że przyczyna tego nietaktu z mojej strony tkwiła w zbyt dużej różnicy temperatur między zmoczoną główką a nóżkami otulonymi w ciepłe szmatki. Właśnie w tym momencie, gdy wrzeszczałem i siusiałem, ksiądz zapytał, czy pragnę zostać dzieckiem bożym i przyjąć wiarę świętą. Ponieważ nie potrafiłem odpowiedzieć, gdyż takie problemy nie docierały jeszcze do mojej świadomości, załatwił to za mnie ojciec chrzestny. To wystarczyło. Otrzymałem imię.

Potem - zgodnie z przyjętym zwyczajem - matka nauczyła mnie pacierza. Przyjąłem do wiadomości imiona ważniejszych aniołów i znanych świętych. Ojciec nie wtrącał się do niczego. Więc z woli matki chodziłem "do sióstr zakonnych na nauki religijne". Wzrastałem w czystości i pobożności. Świat jest pełen tajemnic. A kluczem, w który zaopatrzyła mnie matka, mogłem wszystkie sprawy z łatwością rozwiązać. Po przeczytaniu Katechizmu dowiedziałem się, że świat jest zbudowany z trzech poziomów: u góry jest Niebo, na dole Piekło, a Ziemia pośrodku. Człowiek żyje po to, aby po śmierci mógł pójść do Nieba.

Ale oto, Panie, po latach zabawy w piasku i w wojsko, zaciekała mnie książka. Nastąpił czas zachłannego czytania. Zajmowało mi każdą wolną chwilę. Matkę denerwowało to moje czytanie. Najpierw czytałem książki polecane przez Kościół, potem takie, wobec których Kościół nie zajmował stanowiska, wreszcie dobrałem się do "pozycji zakazanych".

Cudowne lata. W technikum otrzymywałem piątkę z religii, piątkę z marksizmu. Potrafiłem księdzu katechecie pięknie opowiedzieć, jak to Pan Bóg stworzył Niebo i Ziemię, a nauczycielowi uczącemu wiedzy o świecie, jak to ze stada nieokrzesanych małą tworzyła się zorganizowana społeczność ludzka.

Cudowne lata. Czytałem, słuchałem, podglądałem... porównywałem, analizowałem. A moje prawdziwe zwątpienie pojawiło się w momencie, gdy usiłowalem wypowiediane w krąg słowa przyłożyć do ich rzeczywistych znaczeń. Zauważyłem, że słowa stanowią barwne parawany, za którymi usiłujemy ukryć nędzę naszych czynów. Zrozumiałem, że słowa, to nasze największe osiągnięcie. Poza słowem nie posiadamy nic ciekawszego. Żał mi matki, ojca, księdza, nauczyciela... Lękają się utraty podarowanych w dzieciństwie słów. Lękają się słów nowych, nie zatwierdzonych przez grupę. Cdn.

Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej



Obrazek z Urlopu Absolwenta

Któregoś lata na początku lat siedemdziesiątych spędziłem rodzinny urlop wraz z synami na wyspie Gierczak na jeziorze Jeziorak. Z namiotami, gazowymi kuchenkami i całym obozowym wyposażeniem. Biwak organizowało grono nauczycielskie ze szkoły mojej żony, czyli z Technikum Przemysłu Chemicznego i Spożywczego w Gdańsku. Szkoła miała dwie żaglówki i ślizgacz, którymi kilku mężczyzn wiozło drogami wodnymi sprzęt kempingowy z Gdańska na wyspę, a reszta uczestników dojeżdżała później, czym kto mógł, do wsi Siemiany i stamtąd łódkami na miejsce. My do Siemian dojechaliśmy naszą Syreną 103, zostawiliśmy samochód u jednego z gospodarzy w stodole na przechowanie (za ówczesne 100 zł) i o umówionej godzinie przyплыliśmy po nas ślizgacz. Nie wiozł on nas ślizgiem, bo był bardzo załadowany. Na Gierczaku oprócz wody i słońca, trawy i lasu, był placyk do siatkówki, trzy łodzie, karty do brydża, wędki, tranzystorowe radyjko i leniuchowanie. Po prowiant jeździło się żaglówką lub ślizgaczem do Siemian. Brało się tam też do plastikowych kanistrów wodę do picia ze studni. Podczas jednej z takich wypraw zdarzyła się niebezpieczna przygoda. Popłynęliśmy w dwie żaglówki we

czterech. Na szerokiej i nieruchawej BM-ce jeden z nauczycieli pan Wiesław i ja, a na szybkim Finnie mój syn Wojtek z rówieśnikiem. Mieli obaj po około 19 lat. Załoga naszej BM-ki była nietypowa, bo pan Wiesław znał się na żeglowaniu, ale nie umiał pływać, ja natomiast byłem niezłym pływakiem, ale o żeglarstwie nie miałem pojęcia. Obaj młodzi jak to młodzi, na Finnie, jedno i drugie umieli po trochu. Dzień był pogodny i gorący z lekkim, przyjaznym wiatrem, płynęliśmy więc w kąpielówkach, mając na nogach gumki z cholewami. Pod pokładem mieliśmy kapoki, kanistry na wodę i płynęliśmy między innymi po jajka, chleb, piwo i jakieś inne wiktuały. Przejazd do Siemian, zakupy i nabranie wody, wszystko to minęło bez trudności. Rejs w jedną stronę trwał około pół godziny. Odbijając od pomostu w drogę powrotną, dostrzegliśmy na zachodnim horyzoncie zarysy dużej chmury. Wiatr, niezbyt silny, wiał właśnie od zachodu i płynęliśmy żwawo do naszej wyspy, ale chmura się zbliżała. Jak to mówią meteorolodzy: zbliżał się front. W połowie drogi widać już było, że front nas dogoni. Młodzi żeglarze na Finnie mocno nas wyprzedzili i byli już blisko przystani na wschodnim brzegu wyspy. Nasza BM-ka dobiegała do przesmyku między dwoma wyspami, mając Gierczak na prawym trawersie. Czoło chmury już nas dogoniło, ale jeszcze nic złego się nie działo. Liczyliśmy, że przed burzą zdołamy schować się za wyspę, bo rejsu zostało na 10 minut najwyżej.

Nagle na tle chmury pojawiły się małe pierzaste obłoczki, szybko płynące w naszą stronę. Mój towarzysz, siedzący przy sterze, wrzasnął przerażonym głosem: "Zrzucaj grot". I w tym momencie uderzył szkwał z wielką siłą. Udało mi się grot zrzucić, ale zwinąć go już nie zdołałem, bo obróciło łódź bokiem do wiatru i momentalnie położyła się ona na burcie. Wpadliśmy do wody obaj i zdołaliśmy się wdrapać na leżący bokiem kadłub. Siedząc okrakiem, udało mi się wyciągnąć spod pokładu dwa kapoki i zanim fale wzrosły nałożyliśmy je na siebie. Mając kapoki, poczuliśmy się pewniej, ale ja bałem się o Wiesława, bo wiedziałem, że nie umie pływać. Tymczasem wiatr się wzmagał, fale rosły i łódka zaczęła tańczyć na wodzie,

stając często pionowo rufą lub dziobem do góry, lub nawet pływając do góry stępką. Nie tonęła, bo była cała z drewna. Zrzuciliśmy z trudem z nóg nasze gumki, bo stały się ciężkie i ciągnęły w dół. Z łódki wyleciały kanistry z wodą. Walcząc z falami, opróżniłem jeden i próbowałem go potem użyć jako pływaka, pomocnego do utrzymania się na powierzchni. Puściłem go jednak po chwili, bo uderzenia fal nie pozwoliły mi go utrzymać. Lepszą pomocą okazała się drewniana, zbita z listewek podłoga łodzi, którą można było sobie podłożyć pod piersi i trzymając rękami "sztormować" pod falę. Ta metoda okazała się bardzo dobra, bo utrzymanie się na fali nie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Namawiałem do tego też Wiesława i podholowałem mu drugi kawałek podłogi, ale on bał się tak zrobić, cały czas chwytając się różnych części tańczącej łódki i tak utrzymywał się na wodzie. Czułem, że tak długo nie wytrzyma, zmęczy się i zaprzestanie walki o życie, nie mówiąc już o tym, że rzucający się kadłub mógł go śmiertelnie uderzyć w głowę. Uważałem, że bezpieczniej jest "sztormować" podłogą, a od łodzi trzymać się z dala. Kadłub był śliski od wodorostów i właściwie nie bardzo było się czego trzymać. Wiesław miał

Nagle na tle chmury pojawiły się małe pierzaste obłoczki, szybko płynące w naszą stronę. Mój towarzysz, siedzący przy sterze, wrzasnął przerażonym głosem: "Zrzucaj grot". I w tym momencie uderzył szkwał z wielką siłą.

cały czas przerażoną minę, mógł stracić nerwy i przestać panować nad ruchami. Ja, mając podłogę pod sobą, nabrałem pewności siebie i wiary, że szkwał wreszcie ustąpi. Początkowo tej pewności nie miałem i liczyłem się z utonięciem. Dziwna rzecz, ale w momencie, gdy pomyślałem, że naprawdę mogę utonąć, nie przestraszyłem się ewentualności śmierci, tylko zrobiło mi się żal żony i synów, że zostaną sami. Do dziś nie bardzo rozumiem tej psychicznej reakcji, ale chyba ona natchnęła mnie do szukania metod ratunku.

Choć, trzymając się podłogi, panowałem nad swoją sytuacją i nie czułem wyczerpania, to ciągle myślałem, co zrobić z moim towarzyszem, nie akceptującym żadnego sposobu poprawienia sobie sytuacji i czepiającym się kurczowo tańczącej szaleńczo łodzi. Wreszcie postanowiłem płynąć żabką i z podłogą przed sobą do niezbyt odległej wyspy, aby zawiadomić resztę biwakujących i obmyślić sposób ratowania Wiesława. Miałem nadzieję, że Wiesław utrzyma się jeszcze przy łodzi, a bierność była chyba najgorsza. W tym momencie dostrzegłem jakiś kajak, płynący do nas z sąsiedniej wyspy z wiosłarzami w sztormowych strojach. W chwilę potem dopłynęli do nas i w tym momencie wiatr zaczął słabnąć i fale zmalały, a z chmury spadły pierwsze krople ciepłego deszczu. Kajakowcy krzyknęli, że mogą zabrać tylko jednego, więc odkrzyknąłem, żeby brali Wiesława, bo nie umie pływać i jest wyczerpany. Ja czułem się dobrze. Zanim Wiesław wygramolił się na kajak, zdążyłem jeszcze złapać kilka pływających przedmiotów, które wypadły z łodzi, i też wrzucić je na kajak. Wywołało to zdziwienie wiosłarzy, że zamiast myśleć o ratowaniu siebie, wykazują tak niezwykle opanowanie i zbieram przedmioty doczesnego użytku. Ja jednak, widząc ratunek, nabrałem jeszcze większego ducha, przestałem się bać o Wiesława, naprawdę czułem się na siłach, a burza wyraźnie przechodziła. Wreszcie uczepliłem się burty kajaka i zostawiając łódź na pastwę fal, popłynęliśmy do naszej wyspy. Po wyjściu ruszyliśmy wraz z naszymi ratownikami kłusem do namiotów i w tym momencie poczułem, że robi mi się zimno. Dobiegłszy do obozu wzbudziliśmy przerażenie i sensację, bo wszyscy

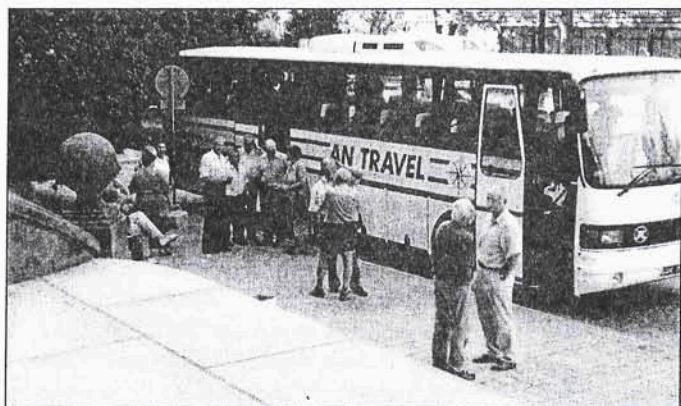
myśleli, że spokojnie w Siemianach przeczekujemy nawałnicę. Zapakowano dwóch rozbitków pod przykrycia w namiotach, a obecny z nami dyrektor szkoły Franciszek Maciejewski włął nam do gardeł po dużej porcji koniaku. Następnie przygotowano szybko gorącą herbatę. Po pewnym czasie rozgrzaliśmy się i przyszliliśmy do siebie. Zjawili się też żeglarze z Finna, których wiatr zagnał bez awarii na drugi brzeg jeziora i tam w trzcinach czekali na zmianę pogody. Nasi ratownicy zostali uroczystie przyjęci przez dyrektora Maciejewskiego, który dziękował im w imieniu nas wszystkich. Zostali oni zaproszeni na rewanżową kolację na któryś z następnych dni. Gdy się wypogodziło, młodzież wybrała się Finnem na poszukiwanie naszej łodzi. Znaleźli ją w trzcinach, postawili i wylali wodę. Przyholowali ją z triumfem, bo okazało się, że z całego ładunku zakupów prawie nic nie zginęło i zachowało się pod pokładem. Co dziwniejsze, nawet większość jaj się nie potłukła, a piwa były wszystkie i całe. Utopiły się nasze gumiaki i kanister, który nie był opróżniony. Chleb oczywiście zamókł i nakarmiono nim

ryby w jeziorze. Największą sensacją było jednak to, że holując BM-kę zauważyli na wodzie jakiś ciemny przedmiot. Po wyłowieniu okazało się, że był to portfel Wiesława, nawet nie bardzo przemoczony, tak że udało się wysuszyć pieniądze i dokumenty. Przy pogodzie trzeba było jechać znowu do Siemian po wodę i chleb, ale uczynił to już kto inny ślizgaczem. Finałem całej przygody była uroczysta uczta wydana w kilka dni później na cześć naszych ratowników.

W jakiś czas po tym wydarzeniu przeczytałem w gazecie o śmierci marynarza rosyjskiego ze statku ratowniczego, który, ratując w sztormie polskich rybaków z tonącego kutra, przebywał długo w wodzie i zmęczony wyszedł na ląd. Zamiast udać się między ludzi i się ogrzać, poszedł między wydmy i położył się, aby odpocząć. Znalaziono go martwego, jak okazało się - z wyziębienia organizmu. To też było w lecie i woda była ciepła.

*Krzysztof Targowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej*

NA CYPR I JESZCZE DALEJ



Wyjazd z Politechniki Gdańskiej

Jest 29.08.99 r. godz. ok.20.30. Senna zazwyczaj o tej porze dnia i roku alejka prowadząca do bramy głównej PG nagle się ożywiła, bo niespodziewanie zajechał tu autokar marki Setra z polskimi numerami rejestracyjnymi. Z autokaru wysypało się mrowie takich trochę ciemnoskórych. Zaczęli z autokaru wynosić: torby, torebki, woreczki i paczki, ale nie od wódek pachnących i nie od tabaczk. Brakło też kotki z kocięty i kanarka co śpiewa kuranty, były za to worki muszli i wyschniętej gąbki.

Wynosili z autokaru i układali wzdłuż jezdni (dla stojącego na jezdni: za krawężnikiem) stosy tobołów, takie mrówcze kopce. Gadali po polsku: "Kto widział moje muszle..., kto widział moje gąbki..., dziękuję..., do widzenia..., do zobaczenia wkrótce...."

Wyjaśniam, że była to grupa PTTK-owców z koła 116 przy PG, która pod przewodnictwem Bożenki Hakuć i Rysia Duniowskiego zakończyła właśnie kolejną, rozpoczętą 30.07.99 r. o godz.6 rano, podróż. Miała ona następujący przebieg:

PG - Cieszyn - Makó - Tessaloniki - Pireus (autokarem) - Patmos - Rodos - Cypr (promem) - Hajfa (statkiem) - Jerozolimma i Betlejem (autokarem) - Port Said (statkiem) - Kair i Giza (autokarem) - Cypr (statkiem) - Rodos - Tinos - Pireus (promem) - Tolo - Delfy - Meteora - Tessaloniki - Russe - Makó - Cieszyn - PG (autokarem).

Autokar wynajęty z f-my "An Travel" był nowoczesny, taka konserwa turystyczna. Nie można w nim było okien otwierać. Nie było też klap w dachu, więc tylko klimatyzacja mogła nas uratować. A ta, złośliwość rzeczy martwych, się zepsuła i tylko wślazała nam do środka powietrze takie, jakie było na zewnątrz, czyli ciepłe, gdy było ciepło, i zimne, gdyby było zimno. To ostatnie nie miało miejsca. Jurek cały czas mierzył temperatury i w autokarze i na zewnątrz, ale skala jego termometru kończyła się na 40C. Ile było naprawdę? Do autokaru f-ma dodała dwóch świetnych kierowców: Piotra i Andrzeja. Pomimo że byli świetnymi fachowcami i bardzo chcieli nam powietrze wewnątrz ochłodzić, nie dali rady znaleźć miejsca wycieku freonu.

Można zapytać, czym się grupa zajmowała? Odpowiadam.

* Pomimo temperatur co najmniej 40°C w cieniu zwiędzaliśmy wszystko, co było w naszej mocy (trochę więcej na ten temat w p.II). M.in. byliśmy w miejscu, w którym pojawiła się Afrodyta. Grupa od tej kąpieli bardzo wypiękniała. Można sprawdzić!

* Kiedy jednak nadarzyła się okazja (a było ich sporo), wszyscy biegli do wody i chowali w niej głowy. Byli też tacy twardzi, którzy opalali się, leżąc na piasku albo na kamieniach, ale ci budzili jeźeli nie powszechny, to mój ogromny podziw. Mieliśmy w towarzystwie podwodnego łowcę, który zaopatrywał nas w ośmiornice i nauczył, co z nimi zrobić, żeby nadawały się do jedzenia.

* Uroczystość obchodziliśmy imieniny dwóch Maryś i Ludwika, a także połowinki z otrzęsinami tych, którzy byli z nami po raz pierwszy. Przy takich okazjach śpiewaliśmy i tańczyli. Zabawa taneczna możliwa była dzięki Januszowi, który grał na akordeonie.

* Na Cyprze odbył się debiutancki wernisaz figurek ulepionych z gliny - autorstwo Róży. To połączone było ze śpiewami przy prawdziwym ognisku. W tym też czasie witaliśmy córkę Marleny Dietrich, w roli której wystąpił Mirek.

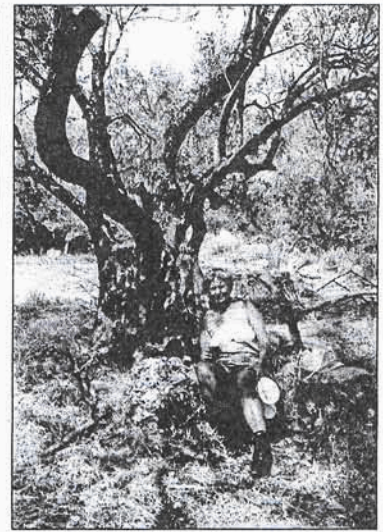
* Kierownik campingu w Tolo nauczył nas tańczyć sirtaki (w Polsce mówi się zorba zamiast sirtaki). Odtąd tańczyliśmy sirtaki jak prawdziwi Grecy, zawsze, gdy tylko zabrzmiała grecka muzyka.



Kyriaki-Khrysopolitissa



Widok na Arachową



Chyba 1000-letnia oliwka, pod którą odpoczywają turyści wracający z Arachowej

* W czasie jazdy autokarem funkcjonował Uniwersytet Autokarowy, w ramach którego Marek i Waldek prowadzili wykłady informujące o tym, co będziemy zwiedzać, a Róża przypominała genealogię greckich bogów i mitologię. Uf! na samo wspomnienie człowiek czuje się tym zmęczony!

W tamtą stronę przekraczaliśmy Dunaj promem funkcjonującym między Calata i Vidim. Zdecydowanie nie polecam tej trasy, chyba że ktoś na siłę szuka, delikatnie mówiąc, nieprzyjemnych wrażeń. Wracaliśmy już przez Russe - to okazało się lepszym rozwiązaniem. Z innych wrażeń, to proszę Państwa! Na Węgrzech nie potrafią przyrządzać gulaszu, a przynajmniej w hotelu Bastyja w Makó. Niewiarygodne to, ale prawdziwe!

W Delfach przeżyliśmy burzę z piorunami, która zakończyła się pokazem naturalnych ogni na niebie, czyli wyładowaniami między chmurami. Piękne widowisko!

Chociaż w Tessaloniach pogryzły nas pchły, w Delfach i nie tylko - komary, chociaż paliło nas słońce i ledwo powłóczyliśmy nogami, zwiedzając położone "na patelniach" zabytki, nikt chyba nie żałuje, że wybrał się na taką wycieczkę!

Do zobaczenia za rok!

II

Nakazem kierownictwa 29.07.99 r. o godz. 17. - pakowanie autokaru. Jest ok. godz. 18. przed Gmachem Głównym PG. Nasz dom na kółkach właśnie został umeblowany. Od jutra rana (godz. 6.) przez 31 dni ten autokar będzie nam w dalekich krajach nie tylko domem, ale i ojczyzną.

Jedziemy przez Cieszyn. Tu zjadamy obiadokolację i nocujemy. Po posiłku - mały spacer po okolicznych ulicach miasta. Na cmentarzu znaleźliśmy grób Gustawa Morcinka.

Następny nocleg w Makó. Przyjechaliśmy na tyle późno, że o kąpeli w ciepłych źródłach nie było już mowy. Łazienka zamknięta. Kolejną noc straciliśmy na przeprawę promową przez Dunaj w Calata. Trzeba przyznać, że Rumuni dbają o atrakcje dla turystów w najgorszym tego słowa znaczeniu, a bułgarscy urzędnicy w Vadim skrzętnie im w tym pomagają. Rezultatem ich starań - nasze późne przybycie do Tessaloni. Było już ciemno i padało, więc skorzystaliśmy z pierwszego lepszego campingu. Właściwie to właściciel campingu skorzystał, bo za urągające wszystkim warunki zażądał wysokiej zapłaty. Pogryzieni przez pchły i komary ruszyliśmy następnego ranka do Pireusu. Jedziemy przez Termopile. Mamy czas na oglądanie

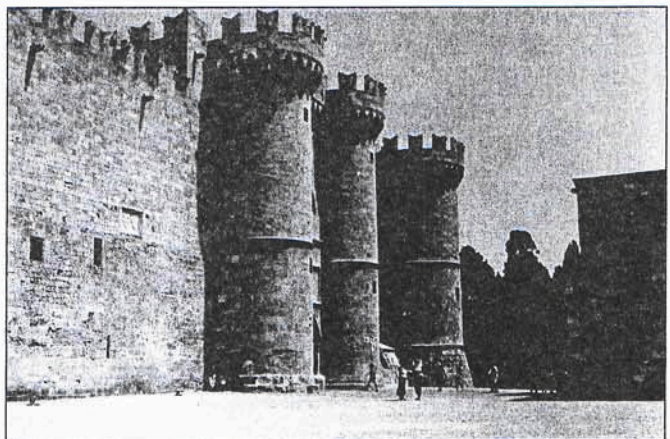
i robienie zdjęć. To dopiero początek podróży, więc jest jeszcze białośkóra, ale kapelusz jest nieodzowny, bo słońce pali.

W Pireusie mamy ładny camping, ale drogi. Jutro grupa zwiedzać będzie Ateny, a kierownictwo załatwiać formalności związane z przeprawą promową na Cypr.

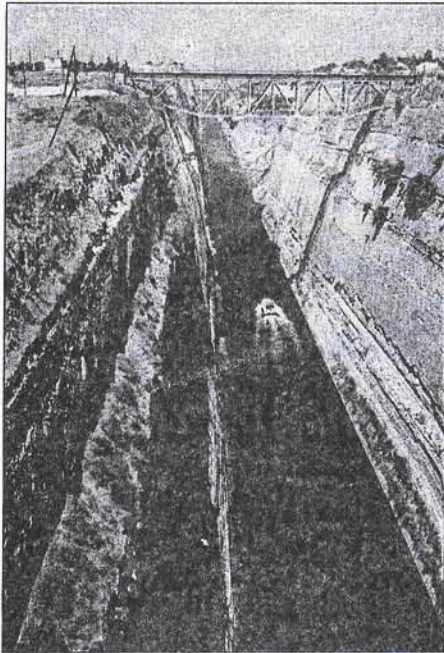
Wreszcie jesteśmy na promie "Nissos Kypros". Nasze kajuty mieszczą się poniżej lustra wody, niżej niż samochody. Są bardzo malutkie, ale za to prawie najtańsze.

Prom ten, jak i statek pasażerski "Princessa Marisa", zakupiono w Rosji. Załogi obu jednostek też są w przeważającej części rosyjskojęzyczne. Do czarnej i ciężkiej roboty zatrudniono głównie Filipińczyków. Pasażerowie także stanowią międzynarodową zbieraninę.

W porcie w Limassol wysiadka. Prom "Nissos Kypros" płynie dalej, a my za chwilę ruszymy naszym autokarem na camping. Trzeba tę chwilę uwiecznić, bo to pierwszy polski autokar, jaki znalazł się na Cyprze. W momencie robienia zdjęcia jeszcze nic o tym nie wiemy. Włączyliśmy się, a właściwie Piotr, w obowiązujący tutaj ruch lewostronny i pojechaliśmy na najbliższy camping o nazwie Kalymnos. Położony jest nad morzem, dobrze zagospodarowany i niezbyt drogi. Teraz spędzimy tu tylko jedną noc, więc nie rozbijamy namiotów. Cypr od pierwszego wejrzenia zrobił na mnie złe wrażenie. Cały posypany białym pyłem - jak otoczenie cementowni. Roślinność o tej porze roku ledwie żywa, chyba że w ogródkach i stale podlewana.



Zamek pojoanicki w mieście Rodos



Kanał Koryncki

Następny etap podróży - statkiem wycieczkowym "Princessa Marisa" z Limassol do Hajfy i Port Saidu. Rano pojechaliśmy autokarem do Limassol. Pożegnaliśmy się z kierowcami Andrzejem i Piotrem oraz ze Stasiem i wsiedliśmy na statek. Tu nasze kajuty są już wyżej położone i bardziej komfortowe. W każdej 4-osobowej kajucie jest węzeł sanitarny. Do posiłków obowiązuje strój zbliżony do wieczorowego. Całe wnętrze statku jest klimatyzowane i to jak na mój gust trochę przesadnie. Różnica temperatur między otwartym pokładem a wnętrzem statku jest silnie odczuwalna. Miało to potem negatywne skutki w postaci chorób gardła u wielu osób z naszej grupy.

Z Hajfy jedziemy autokarami do Betlejem i Jerozolimy. W naszym autokarze jest polskojęzyczny przewodnik. Oповіда dużo i ciekawie. Jeden dzień pobytu w Izraelu to o wiele za mało, żeby móc wyrobić sobie zdanie na temat tego kraju i jego mieszkańców. Zobaczyliśmy to, co niezbędne. Na placu przed Bazyliką Grobu Pańskiego nie tylko my, ale także oddział wojska izraelskiego czeka na wejście do Bazyliki. Cała izraelska młodzież w wieku lat 18 idzie na 3 lata do wojska. Oczekujący oddział był koedukacyjny, a dowodziła nim, o ile dobrze zauważyłam - dziewczyna.

Nocą płyniemy do Port Saidu. Rano w porcie czekają na nas autokary z przewodnikami. Nasza przewodniczka mówi tylko po angielsku, ale jest z nią Polka pracująca na "Princessie" i ona jest tłumaczką. Do Kairu jedzie się 2,5 godz. Poznajemy kawałek Egiptu wyłącznie z okien autokaru. Mijamy tzw. Miasto Umarłych. Jest to ogromny cmentarz z grobowcami jak małe domki jednorodzinne, teraz podzielony szosą Port Said - Kair. W tych grobowcach mieszkają ludzie, niezliczone masy ludzi. Na tym terenie nie funkcjonuje żadna władza ogólnopństwowa, policja nie kwapi się tam zaglądać. Nikt nie zna liczby mieszkańców tego przedziwnego miasta i dlatego liczbę mieszkańców Kairu wraz z Miastem Umarłych określa się od 16 do 20 milionów. Drobna różnica, prawda? Wzdłuż brzegu ciągnie się nasyp zasłaniający lustro wody. Najpierw jedziemy do Gizy do piramid, potem do Sfinksa. Jeśli chodzi o Sfinksa, to pasuje do niego jak ulał przyśpiewka góralska "Giewoncie, Giewoncie, piknyś ty na froncie, hej! ale i od tyłka, ładna z ciebie bryłka!" A temperatura na pewno przekracza 50°C o kilka kresk! Dużym rozczarowaniem dla mnie był fakt, że

miasto jest już tak blisko tych wspaniałych zabytków. Trzeba się po prostu starać, żeby miasta nie widzieć.

Poza tym byliśmy w Muzeum Kairskim, gdzie oprowadzał nas Egipcjanin, który jakiś czas mieszkał na Przymorzu w Gdańsku. W Instytucie Papirusa pokazano nam, jak się wytwarza papirus. Gdyby zechcieć uruchomić produkcję papirusu w Polsce, to największym problemem byłoby wyhodowanie papirusów o dostatecznie grubej łodydze. Niezbędne narzędzia to nóż kuchenny, miska z wodą, tłuczek do mięsa, szmatka i praska. Takie oprzyrządowanie znajdzie się w wielu kuchniach polskich.

Wracamy na Cypr. Spędzimy tu kilka dni. Jednego dnia udajemy się do Pafos. Oglądamy tu tzw. Grobowce Królewskie, ciekawe ze względu na wysoko umieszczone płaskorzeźby i dodatkowe nisze. Królów w tych grobowcach nie chowano, ale ludzi bardzo zamożnych - tak. W Pafos - kościół Kyriaki-Khrysopolitissa, a przed nim rozciągają się ruiny starożytnej budowli. Mówi się, że przy tym peregierzu wymierzono św. Pawłowi 39 batów, a on zrewanżował się zuchwałemu Rzymianinowi sprowadzeniem na niego ślepoty. W rezultacie inny rzymski VIP nawrócił się.

Cypr jest wyspą Afrodyty. Niedaleko Pafos znajdują się ruiny po wspaniałej świątyni Afrodyty, oraz zatoczka Petra Tou Roumiou. Było to bardzo dawno temu, kiedy przyjazne prądy przygnały tu spienione, nieśmiertelne genitalia Uranosa, których pozbawił go jego własny syn Kronos. Z tej to piany wyłoniła się Afrodyta. Poniższe zdjęcie przedstawia fragment tej niezwykle dla ludzkości ważnej zatoczki. Zarysowuje się ona za skałą, o którą oparta jest Róża.

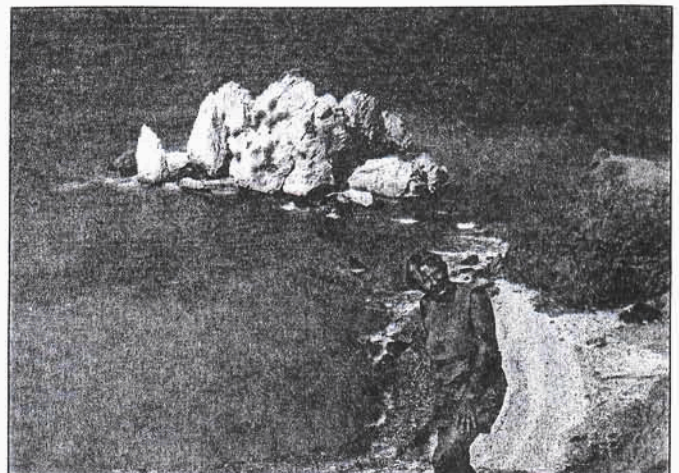
Nasz prom zawijał po drodze do trzech portów na trzech różnych wyspach: na Patmos i Rodos (Dodekanez) oraz na Tinos (Cyklady).

Przenosimy się do miasta Rodos na wyspie Rodos. W tym zamczysku, pamiętacie po Joannitach, mieści się muzeum.

Na Rodos czczono Heliosa i tu ustawiono jego złoty posąg zaliczony do siedmiu cudów świata, czyli Kolosa Rodyjskiego. Zniszczyło go trzęsienie ziemi. W miejscu oparcia jego stóp ustawiono teraz dwa słupki ze zwierzętami. Są to łosio-jelenio-koziolki, z jednej strony wejścia do portu on, z drugiej ona.

Wyspa Patmos znana jest z tego, że tu św. Jan pisał Apokalipsę, a na Tinos znajduje się grekokatolickie sanktuarium maryjne. Jest ono dla Greków tym, czym dla Polaków Częstochowa, i też położone jest na wysokiej górze.

Ciąg dalszy podróży to już wyłącznie droga lądowa. Mijamy Kanał Koryncki, jedziemy do Myken. Tak się jakoś składa, że zwiedzając greckie zabytki, zupełnie zapomina się o tym iż w Grecji mogą żyć zwyczajni ludzie nie mający nic wspólnego ani z turystami, ani z zabytkami. Zdjęcie tych kóz to dowód na



istnienie nieturystycznej Grecji. Te kozy pasły się w jarze za twierdzą mykeńską, a pilnował ich starszek - pastuch.

W Delfach chcieliśmy zasięgnąć opinii Pytii co do dalszej podróży, ale niestety etat wróżbitki został już zlikwidowany. W tej sytuacji udajemy się na północ, odwiedzić klasztor na skałach, czyli Meteora. Nocujemy tu na campingu Kastraki w pobliżu takich właśnie malowniczych skał. Jest to nasz przedostatni nocleg w Grecji. Potem jeszcze tylko nocleg pod Tessalonikami, w Russe, Makó, w Cieszynie ... i już własne łóżeczko!

Zainteresowanych szczegółami uprasza się zająrzeć do opracowanego przez Różę "Dziennika podróży na Cypr i trochę dalej". Po egzemplarzu dziennika otrzymał każdy z uczestników.

Róża Janca-Brzozowska
Absolwentka Politechniki Gdańskiej
Fot. Janusz Brzozowski
Wydział Elektrotechniki i Automatyki



Mykeńskie kozy

POLE MIKI

PLAGIAT DOMNIEMANY

Spór, który się toczy pomiędzy Ministrem EN a środowiskiem Luminarzy Nauki, jest nie tylko interesujący, ale i pouczający. Pokazuje on, jakie to "wielkie dylematy" stwarzają sobie Polscy Luminarze Nauki. Bowiem sprawa plagiatu jest tu tylko pretekstem, ważnym ze względu na osobę domniemanego plagiatora. W rzeczywistości rzecz idzie o relację pomiędzy władzą nominowaną a "świętą władzą profesorskiej demokracji", w sferze nauki. Niestety, po nieco przydługiej socjalistycznej kwarantannie, również nauki, wielu zapomniało, a niektórzy nigdy nie dorosli do tego, by zrozumieć, że w nauce obowiązuje jeszcze trzecia władza - autorytetu dokonań. Podpieranie nauki różnymi protezami, jak: demokracja, ideologia, napuszona celebryta, czy nawet okazjonalna moralność, jest działaniem sztucznym. To człowiek ma być przyzwoity, a nie nauka. Obecnie, najbardziej ogólnie, problem ten jest zanalizowany w encyklice Jana Pawła II pt. "Wiara i rozum", która pokazuje, że cele nauki i wiary są zbieżne - poznanie prawdy.

W życiu codziennym, problem pojawia się wtedy, gdy zaczynamy różnie traktować prawdę. W naszym kręgu kulturowym przyjęto traktować prawdę po chrześcijańsku - jednoznacznie. W innych kręgach, o przewadze kultury przedchrześcijańskiej, prawda jest wartością względną. W wielu kręgach kulturowych, prawdę traktuje się wręcz warunkowo. W Polsce po 55 latach od ostatniej wojny ciągle obowiązuje zasada: nie jest ważne co się mówi - ale kto mówi - i to jeszcze zależnie od czasu oraz okoliczności.

W dyskutowanym przypadku, Minister Handke broni zasad elementarnych, bez żadnych przymiotników i aktualnie obowiązującego prawa. Adwersarze (niestety liczni) bronią demokracji, a więc praw umownych, doraźnych i praktycznych, ale wcale nie bezwzględnie koniecznych. Sytuacja ta jest o tyle interesująca, gdy się zważy, że w zasadzie mały incydent urasta do rangi problemu, sporu bardzo prestiżowego. I aby to zrozumieć, konieczne jest odwołanie się do smutnej spuścizny najnowszej historii. Przecież przez lata prezentacja wybitnych polskich osobistości rozpoczynała się i kończyła stereotypem: studiował w ZSRR, przebywał na stażu lub stypendium w Anglii lub USA, piastował urzędy, otrzymał nagrody i odznaczenia, członek towarzystwa, wybierany do... itp. A prawie nic o tym, co sam zrobił, czego dokonał, najwyższej - czym się

zajmował. (Proszę sprawdzić, na jakich stypendiach przebywali Posłowie i Senatorzy RP).

W takiej sytuacji nietrudno sobie wyobrazić, że student może oszukać dwóch samodzielnych pracowników naukowych: opiekuna pracy magisterskiej i recenzenta. I nie ma w tym nic ciekawego oraz nadzwyczajnego, że jeden nieutytułowany student "oszukuje" kilku "tytułantów", obwieszonych nadmiarem odznaczeń i godności, jak cesarscy generałowie. Zdziwienie natomiast musi budzić to, że Rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. dr hab. Włodzimierz Siwiński zabawia się prawotwórczością ogólną, w specjalności "prawa zaocznego", zamiast od razu pozbawić swych pracowników prawa dyplomowania. Ukrywanie swojej niewiedzy lub niewiedzy swoich podwładnych, pod płaszczykiem odpowiedzialności zbiorowej, ludzkość już wielokrotnie przerabiała - i to na ogół z tragicznymi skutkami. Trudno sobie też wyobrazić, jak można w życiu akademickim przewidywać i planować przestępstwa systemowe. Rektor Siwiński, wzorem Łysenki, ma wprawę w szermowaniu prawem odpowiedzialności zbiorowej i duże zamiłowanie do sądów kapturowych. Dał tego próbkę już w 1996 r., publicznie, w "Polityce", Nr 13 z 30 marca, gdzie nie tylko gromi tzw. docentów marcowych, w sposób daleki od poszanowania prawdy, pomagając w tworzonym ad hoc politycznie koniunkturalnym prawie, w odcieniu faszystowskim, bo likwidującym wszelką dyskusję wokół tego problemu. W swym prawotwórczym zacietrzewieniu nie raczył nawet zauważyć, że tysiące ludzi na "docenturę marcową" uczciwie pracowały całe życie osobiście - a odebrane to im zostało jednym "ukazem" odpowiedzialności zbiorowej. Niestety, w sprawie domniemanego plagiatu, Ministrowi i Posłowi nie tak łatwo odebrać głos, jak bezpodstawnie napiętnowanym "docentom marcowym" - domniemanym sprawcom nieszcześć "bierutowskich pociotków".

Jak demokracja pasuje (przystaje) do nauki, demonstruje także KRASP, żądając zakucia życia akademickiego w łysenkowskie obyczaje jedynie słusznego prawa administracyjnego. Uchwała Nr 6 Prezydium KRASP demonstruje klasyczne pomieszanie pojęć i kruszenie muru, którego w ogóle nie ma. Przecież Minister Handke żadnej Uczelni nie broni przestrze-

gać ani prawa, ani norm moralnych. Minister nie zgadza się tylko z bolszewicką zasadą, że: "daję - i zabieram". A ironii losu dopełnia podpis Przewodniczącego KRASP, prof. dr. hab. Aleksandra Koja, który nie tak dawno jeszcze skwapliwie ukrywał studentów UJ obrzucających Ministra Wiatra jajkami, a obecnie kontynuuje mało chwalebne tradycje swojego teścia: Rektora UJ Teodora Marchlewskiego (1948-56), bratanka okrutnie sławnego Juliana - swojego pierwowzoru. Okres przełomu lat 40. i 50. szczególnie obfitował w przestrzeganie norm moralnych i prawnych - radzieckich.

Osobiście nie wyobrażam sobie, jak nauczyciel akademicki, dyplomujący lub doktoryzujący, może dać się oszukać niewiedzą studenta i nabrać na banał plagiatu. Może to się zdarzyć tylko w przypadku kompletnego niedbalstwa lub niedołęstwa intelektualnego. Bowiem żeby zaistniało oszustwo tego typu, potrzebni są nie tylko oszuści, ale i oszukani. To prawda, że przy dyplomowaniu zdarzają się ciekawsze rzeczy, aniżeli incydenty, że niedouczony student oszukuje niedokształconego "uczonoego".

W mojej, średnio bogatej praktyce promowania młodych ludzi, zdarzały się też ciekawe przypadki. Te ciekawsze nawet zapamiętałem. I tak niegdyś świeżo wypromowany doktor rozrzewniając się, wyznał, że przed kilku laty (nawiasem mówiąc, studiujący według indywidualnego programu u mnie) jego kolega, który zrobił dyplom u mnie z termistorów organiczno - metalowych (na poziomie patentowym), nie oddał wykonanych próbek, a wypalił je, wytopiając z nich około 2 kg srebra. Oprócz innych skojarzeń, przypomniała mi się historia złotych wytworów Inków, przetopionych w sztaby przez hiszpańskich zdobywców. Ale ponieważ w mojej pracowni złotem, platyną oraz alkoholem dysponowały panie, dlatego zdarzenia tego nie skomentowałem. Chociaż byłem zszokowany. Obecnie, "oszust" jest szanowanym (nie przeze mnie) biznesmenem, a "dyskretny doktor" naukowcem niewykorzystanych szans.

Bardziej złożone refleksje wzbudza przypadek innego dyplomanta. Podczas wizytacji domu akademickiego zainteresował mnie młody człowiek ze złamaną ręką, grający na flecie. Rękę złamał, grając w piłkę nożną, i dlatego grał na flecie. Poza tym miał bardzo dobre wyniki w nauce. Zaprosiłem go do mojego laboratorium - gdzie pozostał już do dyplomu. Uzyskał prawie wszystko, co mógł uzyskać student: publikacje, patenty, nagrody, dyplom z wyróżnieniem i - mieszkanie. W tym "dżurnym pierwszeństwie" potknął się dopiero na "Marysi", młodej lekarce, która stanęła mu na drodze w konkursie o miano najlepszego studenta środowiska akademickiego (Nagroda Czerwonej Róży). Mimo podobnych atutów, mój dyplomant przegrał - w wyniku braku równouprawnienia w przyrodzie. Najbardziej ubawiło nas to, że "Marysia" nie tylko wszystkie osiągnięcia naukowe miała bardzo dobre, to jeszcze urodziła dziecko, czego "Zbyszek" nie mógł już dokonać. To zresztą nie jedyny "pech" w "czepku urodzonego" "Zbyszka". Tłumacząc się przed kolegami z Nagrody Sekretarza Naukowego PAN, usprawiedliwiał jej otrzymanie tym, że Sekretarz Naukowy PAN to mój szkolny kolega. Ja myślę, że był to wynik skrywanej obsesji, w tym i tego też, że jego ojca niegościnnie przyjęli Czechosłowacy w trakcie "przyjacielskiej wizyty" w 1968 r. "Niegrzeczni Czechosłowacy" kładli się plackiem, utrudniając lądowanie jego helikoptera (płk. pilota). Ale Dobry Bóg wynagrodził mu te wszystkie "udręki" - od dawna "Zbyszek" jest profesorem Illinois University, uniwersytetu z pierwszej dziesiątki uniwersytetów USA.

Niezwykłą, ale już całkiem radosną przygodę dyplomową wykreował mi Krzysztof Z. Protegowany dyrektora największego polskiego instytutu naukowego zadziwiał otoczenie pracowitością, zdyscyplinowaniem i wręcz maniackalnym zamiłowaniem do porządku. Gdy te jego pozytywne cechy próbowałem spożytkować dydaktycznie, podając go jako wzór do

naśladowania innym dyplomantom, ci przekornie twierdzili, że "zбочenie Krzysia" spowodowane jest brakiem rodzeństwa, w szczególności młodszej siostry, i wojskowym ojcem. Krzysztof wykonał doświadczalną część pracy. Użytkowe aspekty pracy zastrzeżliśmy w Urzędzie Patentowym, uzyskując 2 patenty (u mnie 100% zgłoszeń uzyskało prawa patentów). Nagłym zniknięciem Krzysztofa Z. zaniepokoiłem się wtedy, gdy Dziekan zapytał: co z dyplomem protegowanego przez Warszawę? Zatelefonowałem do rodziców Krzysztofa i wszystko się wydało. Raczej niezmartwiony ojciec Krzysztofa poinformował mnie, że dyplomu to syn już nie dokończy, bo otrzymał upragnione zatrudnienie w Locie - w charakterze pilota.

A tak w ogóle, to polscy studenci, stanowiący przez długie lata najmniejszy ułamek młodej generacji (7%) studiującej Europy, zdolni byli do niezwykłych "szaleństw", ale najmniej do plagiatów. Konsekwencją tej restrykcyjnej selekcji jest wysoki poziom "socjalistycznej inteligencji" oraz duchowieństwa (też mieli swoje szkoły), a słabiutki "ludu pracującego". Szkoda, że III RP z żelazną konsekwencją kontynuuje te mało chwalebne tradycje. Wbrew socjalistycznym przekonaniom, że wszystko jest z nadania (pełna kontrola), to młody człowiek chcący uzyskać dyplom ukończenia studiów lub doktorat musi się jednak czymś wykazać. "Dopiero habilitację dostaje - jak szlachectwo - pokątnie.

Prawo i obyczaj akademicki bardzo nisko oceniają plagiat, a plagiatorów traktuje się jak moralnie trędowatych. Nie jest to jednak powód wystarczający, by tę rzadką chorobę leczyć dodatkowym prawem administracyjnym, jak jakąś chorobę społeczną. Trudno bowiem w nauce normy moralne zakuć w administracyjne nakazy. Chociaż powojenna Polska obfituje w liczne przykłady takich działań, a nauka polska w szczególności. A tak w ogóle, to panowie Rektorzy i Profesorowie nie powinni się publicznie przyznawać, że w ich Uczelniach oraz ich Katedrach mają miejsce plagiaty, a także ściąganie na egzaminach. A już w żadnym przypadku nie powinni się z tym obnosić przed dziennikarzami, a co najwyżej poskarżyć się swojemu Ministrowi. Nie tak dawno przecież żalili się obficie na swój "garbaty los" sekretarzom partii.

Bronisław J. Jachym
Wydział Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej

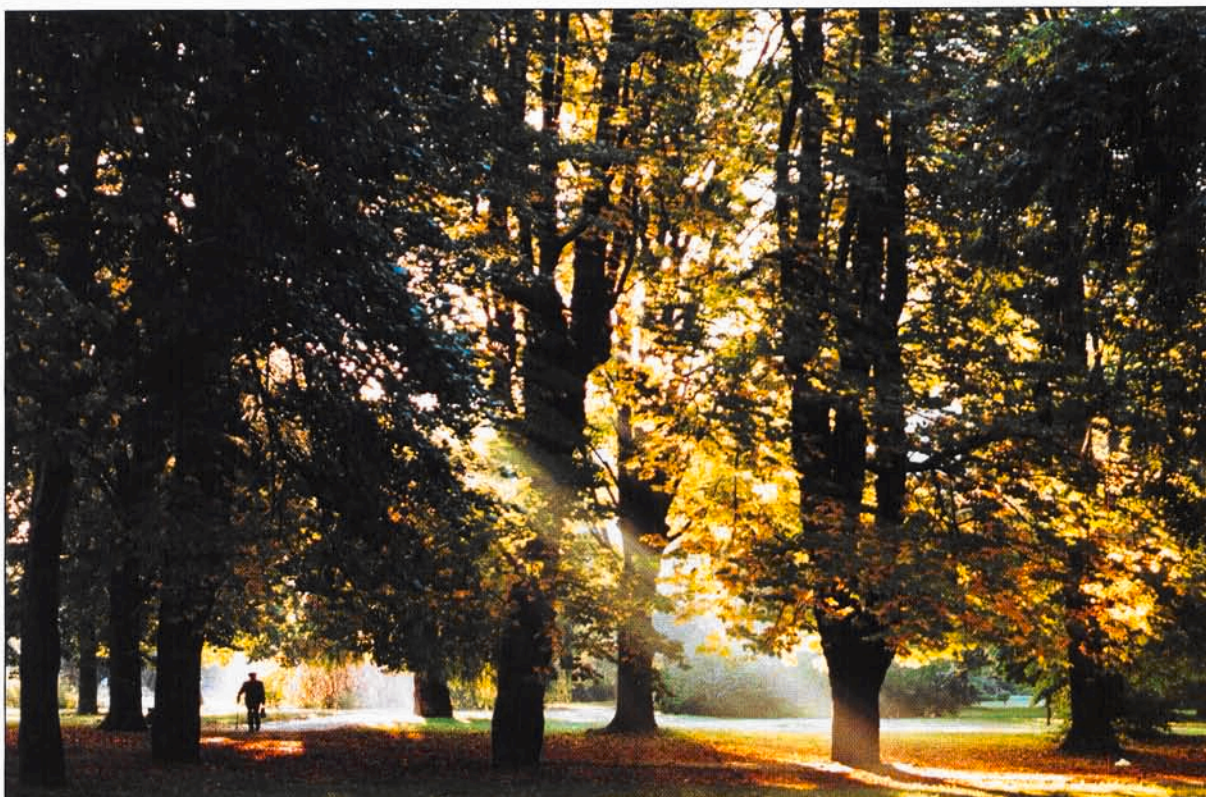
Moja przygoda z fotografią zaczęła się przed laty, gdy na 12. urodziny dostałem w prezencie od rodziców "Druha" - mój pierwszy aparat. Uwieczniałem wówczas na szerokich fotopanach rodzinne spacerki, wycieczki za miasto, krajobrazy z wakacji na wsi.

W szkole średniej, za pieniądze zarobione latem, kupiłem "Smienę" i światłomierz. Z wyjazdów na obozy wędrowne przywoziłem przezrocza górskich pejzaży i urządziłem domowe pokazy. Z czasem zwiększając wymagania wobec siebie, zainteresowałem się fotografią mistrzów pejzażu, co wynikało z mojego zamiłowania do przyrody i wędrowek.

Dopiero w latach 90. odważyłem się zaprezentować publicznie swoje prace. W 1995 r. mój slajd z widokiem zimowych Tatr wygrał konkurs Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego. Potem przyszły wystawy na Politechnice Gdańskiej i w Dworku Sierakowskich w Sopocie. Ostatnią kolekcję prezentowałem w holu Biblioteki Głównej PG w styczniu i lutym 2000 r.

Jestem autorem kilkudziesięciu fotografii do książki o klasztorze franciszkanów i kościele św. Trójcy w Gdańsku.

Waldemar Szaraniec
Biblioteka Główna PG



PARK PRZY PG
- IMPRESJE FOTOGRAFICZNE
WALDEMARA SZARAŃCA

